„Opisanie Łodzi"

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok IV. ŁÓDŹ, 1 kwietnia 1961 r.

Nr 13 (161) Cena 1 zł

ZBIGNIEW CHYLIŃSKI

# Reporterzy na start!

Wspólnie z Wydziałem Kultury Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi ogłosiliśmy konkurs zamknięty na reportaż pod hasłem „Opisanie Łodzi". Dlaczego konkurs na reportaż i dlaczego „zamknięty"? I wreszcie, co oznacza hasło „opisanie Łodzi"?

Reportaż jest chyba najtrudniejszym, a zarazem najbardziej „nośnym", najchętniej czytanym rodzajem dziennikarskim. Wyróżnikiem tego rodzaju jest obrazowość, co zbliża go do literatury pięknej. Wymogiem reportażu jest z drugiej strony faktograficzna ścisłość, co stawia go gdzieś na pograniczu opisów i zapisów naukowych.

Zanim w daną dziedzinę życia wkroczy nauka ze swoją skomplikowaną i precyzyjną, wymagającą beznamiętności i dążącą do pełnego obiektywizmu aparaturą badawczą, wyprzedza ją reportaż. Zbiory „szalejącego reportera" Egona Erwina Kischa są do dziś miejscami jedynym źródłem wiedzy o zapoznanych krajach, do których nie dotarli historycy, etnografowie, socjologowie czy ekonomiści. Reportaże Johna Reeda zebrane w tomie „Dziesięć dni, które wstrząsnęły światem" antycypowały prace historyków rewolucji rosyjskiej. Utwory Juliusza Fuczika, znane u nas pod tytułem „W kraju, gdzie jutro jest już dniem wczorajszym" stanowiły elementarz wiedzy o Związku Radzieckim w czasach, kiedy był on otoczony kapitalistycznym „kordonem sanitarnym". Dzisiejsze reportaże naszych i obcych wysłanników na Kubę, relacje reporterów z krajów afrykańskich i azjatyckich także zaspokajają głód wiedzy o zachodzących tam przemianach.

Reportaż jako jedyny bodaj rodzaj sztuki pisania polega na chwytaniu najbardziej dynamicznych zjawisk życia społecznego i dlatego bywa poznawczo cenny i czytelniczo frapujący.

Nie zamierzamy teoretyzować na temat reportażu i definiować jego kanonów. Złośliwcy powiadają, że u nas i tak więcej jest teoretyków reportażu niż reporterów i wolelibyśmy, aby nas nie zaliczono do tych pierwszych. Poprzestańmy tedy na wstępnych stwierdzeniach. Powiedzmy nadto, że mamy w Polsce nie tylko teoretyków, ale i znakomitych praktyków reportażu, nie dość eksponowanych tylko na zasadzie, że nikt nie jest prorokiem we własnym kraju. Mamy ich wbrew temu, że uprawianie rzetelnej sztuki reportażu się nie opłaca, bo po prostu nie jest on „w cenie". To jako sprawy wąsko-profesjonalne, poruszone swego czasu w głośnej dyskusji o „proletariuszu dziennikarskim", w gruncie rzeczy mało obchodzące Czytelnika — zupełnie na marginesie. Gorzej, że nie ma ambicjonalno-moralnego klimatu dla tej sztuki. Konia z rzędem temu, kto nam wskaże gazetę codzienną drukującą systematycznie reportaż. Prio rytet artykułu i informacji, fetyszyzowanie krótkiej formy wypiera reportaż. Chwalebny wyjątek potwierdzający regułę stanowi „Życie Warszawy". A i w cieście tygodniowym reportażowy rodzynek trafia się nader rzadko. Mowa oczywiście o tzw. reportażu krajowym, bo z

Dalszy ciąg na str. 2

STANISŁAW CZAJKOWSKI

# WYBORY od „podszewki"

*** Zaczęło się od nawlekania igieł * Sekretarz znienawidził własny podpis * Lista zmienna jest * Całe miasto szuka obywatela Bawła * Wiatr przeciwko nam * Wyborcy dają znać * Listy gotowe * Machina sprawozdawcza * Dzielnica przedstawia się * Sprostowania, sprostowania....**

*Jestem kierownikiem referatu rad Prezydium Dzielnicowej Rady Narodowej Łódź-Górna. Z dniem 18 lutego bieżącego roku powierzono mi opiekę nad przygotowaniami organizacyjnymi akcji wyborczej. „Przeciętny" obywatel nie orientuje się, ile te przygotowania wymagają wysiłku i czasu. Wystarczy powiedzieć, że pracujemy teraz po 14—15 godzin dziennie.*

*Postanowiłem pisać pamiętnik. Zapisuję tu dzień za dniem mój udział w akcji. Mam już gruby brulion zapełniony notatkami. Dla czytelnika wybieram z niego tylko niektóre informacje, z okresu czasu od 18 lutego do 21 marca.*

*W naszej dzielnicy jest około 112 tysięcy uprawnionych do głosowania. Podzielono dzielnicę na 76 obwodów wyborczych.*

## Zaczęło się od nawlekania igieł

Gotowy plan podziału na obwody przekazaliśmy do „Adremy". 18 lutego zadzwonili stamtąd, że możemy odebrać wydrukowane listy wyborców.

„Adrema" to inaczej biuro zmechanizowanej ewidencji ludności. Każdy obywatel miasta ma tam swoją ołowianą kliszę z nazwiskiem, adresem, wiekiem, zawodem i innymi jeszcze danymi. Wszystko jest tak ułożone, że w ciągu godziny biuro może sporządzić ewidencję 2 tysięcy osób — np. jednego rocznika, jednego zawodu, czy mieszkańców jednej ulicy. „Adremy" ist-

Dokończenie na str. 5

# SENSACYJNE ODKRYCIE!

Wydmikowie prowadzą zbieracko-łowiecki tryb życia. W produkcji objawia się najbardziej pierwotny podział pracy, oparty na różnicach fizjologicznych między mężczyzną a kobietą.

ANDRZEJ KONDRATIUK

# Nieznane plemię na piaskach Łeby

Pustynię łebską postanowiłem odwiedzić po licznych i bliżej nie sprecyzowanych pogłoskach napływających z północnej części naszego kraju, jakoby na obszarach tych pojawili się dzicy ludzie, zwani przez okoliczną ludność Piaskowcami (od piasków pustyni łebskiej). Ponieważ pogłoski te miały charakter typowej plotki, a całej sprawie nadana została atmosfera niezdrowej sensacji, postanowiłem udać się na miejsce rzekomych wypadków celem konfrontacji tych wszystkich wymysłów z rzeczywistością i tym samym przyczynienia się do prawdziwego rozwiązania zagadki ludzi z pustyni. Na wydmach pustyni łebskiej spędziłem 10 dni z tego 8 wśród odnalezionych Piaskowców w rzeczywistości zwanych Wydmikami.

Tak więc plotka okazała się prawdą. Jest to niewątpliwie doniosłe wydarzenie w życiu naszego społeczeństwa. Na podstawie poczynionych obserwacji mogę z całą pewnością stwierdzić, że nie są to jednak ludzie dzicy, tym niemniej formy kultury materialnej tej gromady daleko odbiegają od form obecnych. Jest to tym

Dalszy ciąg na str. 6

Jeden z krajobrazów pustyni łebskiej — las zniszczony przez piasek, zwany przez tubylców „lasem płaczu".

## REPORTERZY NA START!

(Dokończenie ze str. 1)

„zagranicznym" to całkiem inna historia.

Zdaje się, że w tym, co rzekliśmy, jest wyjaśnienie, dlaczego konkurs na reportaż. Z kolei druga kwestia.

Przyjęło się w sprawach literatury i dziennikarstwa, że każdy nosi w kieszeni obok klapy pióro Tomasza Manna bądź Egona Erwina Kischa. Mniemanie to jest wciąż w obiegu, mimo, że mało pojawia się Tomaszów Mannów a już zupełnie nie rodzą się Kischowie. Szereg konkursów dostępnych dla wszystkich, urządzanych i w naszym mieście, nie przyniosło jakoś oczekiwanych rezultatów. A jeśli przynosiły prace godne uwagi i druku, to były one autorstwa profesjonalistów.

Oczywiście, nie jesteśmy przeciw konkursom otwartym, czasem może się wyłonić w takiej drodze jakiś talent, ale niech równoprawne będą też konkursy zamknięte. Mają je architekci i plastycy, mają je nawet sportowcy, bo czymże innym są zawody tzw. kadry, to dlaczego nie mogą ich mieć reporterzy. Czy rekordy olimpijskie byłyby możliwe, gdybyśmy polegali jedynie na biegach przełajowych?

Otóż ogłaszając nasz konkurs chcemy preferować reportaż, pragniemy przeciwstawić się jego uwiądowi i deprecjacji, zmienić klimat, w jakim wegetuje.

Czy zamysł nasz nie grzeszy czasem zarozumiałością? Dlaczego właśnie nasz „tygodnik łódzki" porywa się z taką motyką na słońce? Być może porywa się, ale nie bez kozery.

Łódź jest miastem, które w okresie władzy ludowej przeżywa awans bez precedensu. Przed wojną była kolonią krajową, terenem eksploatacji mas i bogacenia się elity ich kosztem. Kolonialny charakter Łodzi był widoczny nawet w jej układzie przestrzennym. Nowobogacki blichtr śródmieścia i nędza peryferii, europejskie City i urągające cywilizacji jego otoczenie. Znikają te kontrasty. Kształt miasta, warunki życia w nim, począwszy od zasobów mieszkaniowych, skończywszy na wyposażeniu w urządzenia sanitarne, ulegają zasadniczemu przeobrażeniu. Zmieniają się wszelkie struktury: przemysłu, zatrudnienia, ludności. W latach czterdziestych Łódź wchłonęła dziesiątki a w sumie setki tysięcy ludności napływowej, przeważnie ze wsi. Dała tym ludziom pracę, ale nie to jest najważniejsze, bo zawsze była mekką pracy. Dała im znośne warunki egzystencji, które z każdym dniem stają się coraz lepsze, bo taki jest plan władzy ludowej wobec Łodzi, a plan jest prawem. Sławne z udziału w polskiej rewolucji miasto dorabia się sławy swego racjonalnego przeobrażenia w miasto nowoczesne, kolorowe, czyste, zdrowe, spełniające nie jak dawniej funkcje maksymalnej produkcji i zminimalizowanej konsumpcji, lecz pełnego zaspokojenia ludzkich potrzeb w dziedzinie materialnej i kulturalnej. Losy poszczególnych ludzi w tym mieście i całych zbiorowości w sposób niezauważalny dla nich samych kształtują się pomyślniej.

Nikt bardziej nie jest predystynowany do opisania tych losów ludzkich na tle losu miasta niż reporter. Dlatego zainicjowaliśmy nasz turniej. Turniej?

Otóż tak. Do udziału w naszym konkursie zaprosiliśmy grupę najlepszych reporterów z kraju i z Łodzi, i w tym sensie konkurs nasz jest zamknięty. Uważaliśmy, że Łódź jest godnym celem ich wysiłku. Nie omyliliśmy się. Formuła naszego konkursu spotkała się z dużym zainteresowaniem i uznaniem. Lista uczestników, którą za tydzień opublikujemy, zaświadczy o tym dość dowodnie. Trudno rokować wartość wyników, ale skład uczestników konkursu gwarantuje, że będą one co najmniej interesujące. Turniejowość naszego konkursu polega na tym, że każdy z reporterów wylosuje konkretny fragment miasta, jako teren swych obserwacji. Losowanymi fragmentami będą tzw. dzielnice naturalne Łodzi, a więc m. in. Bałuty, Chojny, Dąbrowa, Górniak, Grünbach, Julianów, Karolew, Koziny, Marysin, Nowe Złotno, Polesie, Radogoszcz, Retkinia, Ruda, Staromiejska, Szlezyng, Widzew, Stoki, Sikawa, Zarzew, Żubardź, Żabieniec, Zdrowie. Dzieląc miasto wedle klucza topograficznego chcemy otrzymać całościowy jego portret, a ponadto zapewnić uczestnikom konkursu równy start. Nastąpi on 7 kwietnia br. Począwszy od tego dnia grupa reporterów z kraju i Łodzi myszkować będzie po dzielnicach. Życzymy im owocnej pracy, a sobie i Łodzi serii udanych reportaży, takich które by mogły się złożyć na pierwszą, współczesną książkę o „polskim Manchesterze".

ZBIGNIEW CHYLIŃSKI

## GŁOS W DYSKUSJI · GŁOS W DYSKUSJI · GŁOS W DYSKUSJI ·

JERZY FELIKSIAK

### Obyśmy wspólnie odetchnęli (XII)

# KONFLIKT TROCHĘ NIEBEZPIECZNY

**Szanowny Panie Redaktorze!**

Pod wpływem artykułów z cyklu: „Obyśmy wspólnie odetchnęli" poczułem nagle potrzebę podzielenia się swymi uwagami na temat wychowania pokolenia dojrzewającego.

Konflikt między pokoleniem dojrzewającym a światem dorosłych jest co najmniej tak stary jak metody wychowawcze otrzymane w spadku po Sparcie. W każdej epoce i w każdym okresie dla starszych konflikt ten był walką o należyte wychowanie młodzieży, o przystosowanie jej do swych nawyków, obyczajów i zasad. Natomiast pokolenie dojrzewające zakładało protest przeciw niezrozumieniu przez starszych świata własnych przeżyć, nieskrystalizowanych jeszcze pragnień i dążeń.

Tak przedstawiający się dla obu stron konflikt nie był dotychczas niebezpieczny. Obecnie jednak zaistniały symptomy, które każą wątpić, czy dla pokolenia dojrzewającego ów konflikt jest tylko protestem. Formy okazywania braku szacunku dla starszych oraz manifestacyjne lekceważenie ich zasad stwarzają niebezpieczeństwo pogardy. A pogarda protestowi nie równa. Protest nie neguje istnienia po drugiej stronie autorytetu, gdy tymczasem pogarda wyklucza taką możliwość. I dlatego konflikt ten staje się niebezpieczny.

Brak konsekwencji w postępowaniu i wychowaniu oraz dwulicowość — oto główne przestępstwa, za które dorośli mogą drogo zapłacić.

Nauczyciele i wychowawcy, zdają sobie z tego sprawę, omal codziennie, są świadkami jakiejś małej klęski, której nie zawsze mogą zapobiec. Te drobne klęski nie wynikające ani z pijaństwa ani z upadku moralnego rodziców, wynikają przeważnie z bezmyślności lub głupoty wychowawczej.

Bo jakże inaczej nazwać zachowanie się eleganckiej damy, która na wiadomość o dwu ocenach niedostatecznych otrzymanych przez rozkapryszonego synka reaguje krzykiem:

„Jędrusiu, co ja słyszę! Tatuś się przecież powiesi. Może pan będzie tak dobry i coś zrobi, bo ojciec taki uczulony."

Nauczycielowi już nic innego nie zostało, tylko spojrzeć na trzynastolatka, by się przekonać jakie wrażenie wywarła na nim wiadomość o ewentualnym samobójstwie tatusia.

Czy można pochwalić postępowanie kierownika szkoły, który ucznia wyrzuconego za skandaliczne zachowanie się, wprowadza zza drzwi z powrotem na lekcję. Niezależnie od oceny tego postępku należy stwierdzić, że fakt ten nie przysporzył ambicji i szacunku kierownikowi i skrzywdzonej nauczycielce.

Najpospolitszym jednak świadectwem braku konsekwencji i systematyczności w wychowaniu są dzienniczki uczniów. „Dobry" tata lub „dobra" mama przeważnie lubią podpisywać czyste strony, opuszczając kartki z ubiegłych tygodni wypełnione uwagami. W takich wypadkach przed wywiadówkami dochodzi nawet do przymierza między ojcem a synem. Nie kontrolowany przez szereg tygodni dzienniczek nagle ginie i nauczyciel dowiaduje się od rodziców, że „najwyżej w ostatnim tygodniu Kaziu nie miał dzienniczka podpisanego".

Oskarżając dom warto pamiętać, że w szkole również mogą zaistnieć warunki do zaostrzenia się konfliktu. Następuje to przeważnie wówczas, gdy młodzież podlega oddziaływaniu dwu krańcowych postaw wychowawczych: przesadnie tolerancyjnej z domieszką egzaltowanej czułostkowości oraz znającej tylko jeden środek wychowawczy — dwóję.

Wtedy to zaczyna się rozdrażnienie i przekorną, długotrwała opozycję.

Z braku jednolitości i konsekwencji w wychowaniu bierze się chwiejność nastrojów uczuciowych. A przecież należy pamiętać, że przemiany w organiźmie dorastającej dziewczyny, czy dorastającego chłopca również — a może przede wszystkim — powodują w ich psychice stany niejasne. Wiedząc o tym nie trzeba się niepokoić jakąś sporadyczną niegrzecznością, czasem niezrozumiałym dla nas uporem lub brakiem opanowania. Nie znaczy to, że można pozwalać na tego rodzaju objawy. Nie powinno się tylko reagować na nie na gorąco, bo wówczas aktualny sędzia i winowajca są podnieceni, a to może z kolei zaostrzyć sytuację.

Nie powinno się również za wiele moralizować. Rozmowy typu „ja w twoim wieku" lub „co z ciebie wyrośnie" świadczą o analfabetyźmie wychowawczym. Po kilku takich mowach młody delikwent umie je już na pamięć i lekceważąco a nawet z pewnym politowaniem podpowiada swemu moralizatorowi zapomniane fragmenty i przykłady.

Każda umoralniająca rozmowa winna być dostosowana do sytuacji i charakteru winowajcy. Tymczasem jakże często przed młodym przesiąkniętym już cynizmem osobnikiem robi się z narady rodzicielsko-pedagogicznej pokaz bezradności wobec dziecka, którego jedynym przestępstwem był brak opanowania, pozwala się na więcej niż stanowczy ton i ostre potraktowanie. Wyniki takiego postępowania są wiadome. Tam, gdzie był posłuch zaczyna się uczuciowy bunt, natomiast u rozzuchwalonych świadków indolencji czynników wychowawczych utrwala się jawne lekceważenie starszego pokolenia, a nawet pogarda.

Jeśli dodać do tego różnicę między szkolną a domową oceną rzeczywistości, to już w podsumowaniu wypadnie — upadek autorytetu świata dorosłych. Do jego ocalenia nie jest potrzebny lakier, ani różowy, ani czarny, niepotrzebne moralizatorskie gadulstwo. Wystarczy trochę więcej konsekwencji, mądrej argumentacji i stanowczości. Czasem wystarczy spojrzenie prosto w twarz. Ale nie wszyscy, nawet i „ci znakomici" potrafią patrzeć prosto w oczy.

JACEK LEBEN

# NRF sięga daleko

**Można niewątpliwie stwierdzić, że aktualna sytuacja polityczna stwarza dla Niemieckiej Republiki Federalnej dogodne warunki ekspansji.**

**Rozwinięta gospodarka Niemieckiej Republiki Federalnej stanowi w tej chwili trwały jej fundament. Nadwyżki handlowe NRF w jednym tylko roku 1960 wyniosły 1 miliard 300 milionów dolarów i nic nie wskazuje na to, żeby rezerwy płatnicze NRF, które już dziś wynoszą blisko 8 miliardów dolarów, uległy zmniejszeniu. Poza tym Niemiecka Republika Federalna jest w pozycji uprzywilejowanej w stosunku do jej konkurentów w Afryce i Azji: W. Brytanii, Francji, Belgii, Holandii. Niemcy uchodzą bowiem za nieskompromitowanych polityką kolonialną, a wspomnienia o kolonializmie niemieckim sprzed pierwszej wojny światowej mocno się już zatarły.**

**Ponadto Stany Zjednoczone w Azji i w Afryce stają się występować w antykolonialnych szatach. Jawny sojusz z Anglią czy Francją niezmiernie w tym przeszkadza. Dlatego też Niemiecka Republika Federalna jest dla Stanów Zjednoczonych sojusznikiem szczególnie cennym, zwłaszcza że Stany mają w tej chwili bardzo poważne kłopoty z bilansem płatniczym.**

**NRF zamierza wykorzystać szanse. Zachodnio niemiecki polityk A. Zischke pisze w jednym z wydawnictw: „wschód jest dla nas zamknięty, posuwanie się na zachód dawno osiągnęło swoje granice, tak więc pozostaje nam tylko południe, tylko Afryka.. Tylko wtedy kiedy Europa będzie zjednoczona z tropikalną Afryką nasz kontynent osiągnie swoje naturalne granice".**

**Oczywiście, ideolodzy Niemiec zachodnich mają teraz przy wszystkich okazjach usta pełne twierdzeń o europejskich celach i możliwościach. Jasne jest jednak, że w tej zintegrowanej Europie mają zamiar odgrywać rolę hegemona.**

**Prof. Furler oświadczył już w 1957 r., że umowa o „wspólnym rynku" daje wspaniałe możliwości uczestniczenia w dalszym opanowania zamorskich rejonów nie występując w roli „kolonialnego" mocarstwa.**

**Na razie jednak rząd NRF nie zamierza ograniczać swoich możliwości przez wspólny jedynie z innymi państwami Zachodu udział w pomocy dla Afryki, Azji i Ameryki Łacińskiej. NRF znaczna część swoich środków woli uruchamiać poprzez dwustronne umowy z krajami gospodarczo zacofanymi. Umów takich jest coraz więcej. Szczególną uwagę przywiązuje się w NRF do tzw. „pomocy technicznej" dla krajów gospodarczo słabo rozwiniętych. Specjaliści z NRF tworzą szkoły i uczelnie techniczne w tych rejonach, funduje się stypendia, wysyła specjalistów. W Turcji i w Iranie znakomita większość kadr technicznych nabyła wykształcenie w Niemieckiej Republice Federalnej.**

**Powołano w Niemieckiej Republice Federalnej szereg instytutów naukowo-badawczych m. in. „Niemiecki Kolonialny Instytut" oraz „Niemiecko — Wschodnie — Afrykańskie Towarzystwo", „Niemiecko — Afrykańskie Towarzystwo" w Hamburgu.**

**Można zaobserwować burzliwy wzrost wymiany handlowej NRF ze wszystkimi prawie krajami gospodarczo zacofanymi. W handlu z tym krajami NRF posiada zresztą stałe, wysokie nadwyżki płatnicze. „Cud gospodarczy" w NRF stał się fundamentem ekspansji imperializmu niemieckiego w kierunku na Azję i Afrykę. Należy ją śledzić.**

**W ciągu ostatniego roku jesteśmy raz za razem szokowani wieściami dotyczącymi Niemieckiej Republiki Federalnej. To bazy we Francji i ich zapowiedź w Anglii, to znów rewaluacja marki zachodnioniemieckiej i pomoc finansowa NRF dla Stanów Zjednoczonych i W. Brytanii. Innym razem wiadomości te dotyczą coraz wyższych stanowisk, które oficerowie niemieccy obejmują w sztabach Paktu Atlantyckiego. Do tego wszystkiego dochodzi jeszcze umocnienie potęgi militarnej NRF, wyposażenie w broń atomową, wzrastająca buta w polityce zagranicznej. Latem zeszłego roku fala rewizjonistycznych wystąpień w stosunku do Polski została przecież rozkołysana bez żadnej żenady przez Adenauera, Erhardta Straussa.**

**Zastanawia ten ciąg wydarzeń, których dokładne wyliczenie zajęłoby zresztą bardzo wiele miejsca. Rodzą się pytania dotyczące przyczyn tej wielkiej fali zachodnioniemieckiego imperializmu. I znów wiele miejsca zajęłoby wyliczanie przyczyn. Można je chyba jednak w pewnym sensie uogólnić. Otóż prawdopodobnie rok 1960 przejdzie do historii jako rok zakończenia odbudowy niemieckiego imperializmu. Akumulował on w ciągu minionego 10-lecia tyle środków ekonomicznych, określił dzięki zimnej wojnie tak dobre dla siebie pozycje wyjściowe, że teraz przyszedł już czas na rozpychanie się łokciami i na imperialne uderzenie w bardzo różnych kierunkach.**

**Jednym z tych kierunków są kraje gospodarczo słabo rozwinięte.**

ALEKSANDER NIEŚMIAŁEK

# „Wieczór kawalerski"

Nie sposób zacząć recenzji tego bardzo dobrego filmu reż. Delberta Manna od nienapisania kilku uwag pod adresem autorów polskiego opracowania dźwiękowego. Film ten okaleczono, a dokonali tego pracownicy łódzkiego oddziału dźwiękowych opracowań z reż. Romualdem Dobraczyńskim na czele.

Dubbing, który został „popełniony" na filmie „Wieczór kawalerski", można uznać albo za wyraźną złośliwość wspomnianych osób lub za kompletny brak kwalifikacji i umiejętności w tej dziedzinie. Nie jest dla nikogo tajemnicą ile trzeba płacić za prawo eksploatacji w Polsce amerykańskich filmów i jak „słono" kosztuje każde dźwiękowe opracowanie zagranicznego filmu. Sprawa złego dubbingu „Wieczoru kawalerskiego" zakrawa na — łagodnie określając — wykroczenie gospodarcze. Z głośnika słychać bełkot, dwie trzecie dialogów nie są zrozumiałe.

Po tych uwagach przejdźmy do „ofiary dubbingu" czyli filmu „Wieczór kawalerski" Jest on po „Marty" następnym dziełem scenarzysty Paddy Chayefsky'ego oraz reżysera Delberta Manna. Podobnie jak w swym poprzednim filmie twórcy dotykają spraw zwykłego, szarego życia tzw przeciętnego Amerykanina. Bohaterami filmu jest pięciu mężczyzn, zwykłych urzędników pewnego biura. Trzech z nich ma własne rodziny, dwóch jest kawalerami. Któregoś dnia postanawiają „oblać" zaręczyny jednego z kawalerów. Kosztem własnych obowiązków rodzinnych poświęcają czas na tzw. wieczór kawalerski. Chcą po prostu na chwilę wyrwać się z szarości i jednostajności życia. I oto próba takiego oderwania się od rzeczywistości staje się niemożliwą, jest tylko tragifarsą, zupełnie bezsensownym zalaniem się aż do „przerwy w życiorysie".

Bogaty materiał obserwacyjny w tym filmie, pozwala wyrobić nieco inne spojrzenie na Nowy York i jego mieszkańców niż to, jakie sugerują liczne superfilmy amerykańskie. Choć nie jest to na pewno „odkrycie Ameryki", ale chyba nie często można zobaczyć w amerykańskich filmach Nowy Jork — obskurnych brudnych przedmieść, knajp i czynszowych domów czy zaśmieconego metra. Ludzie w tym filmie są tylko przeciętnymi urzędnikami, skrupulatnie zabiegającymi o każdego dolara. Ludzie ci pracują i uczą się wieczorami lub po siedem miesięcy bywają w ogóle bez pracy, żyjąc z pożyczanych pieniędzy. Reżyser daleki był od udziwniania czegokolwiek. Bardzo dobrze zróżnicował charaktery bohaterów filmu. Znakomicie poprowadził świetnych aktorów: Dona Muray'a, E. G Marschalla, Jacka Wardena, Patricję Smith, Corolyn Jones. Płynna narracja, dobra dramaturgia, bardzo dobre kreacje aktorskie — niewątpliwie zadecydowały o sukcesie tego filmu i wyróżnieniu go na festiwalu w Cannes w 1957 roku.

Dobrze się stało, że drugi film Manna i Chayesky'ego trafił wreszcie na nasze ekrany. Bardzo źle jednak, że został on tak okaleczony przez naszych „speców" od dubbingu. Oby tylko trzeci film tych samych twórców — „W środku nocy" nie padł ofiarą studia opracowań dźwiękowych.

## „Witaj smutku"

*Nie tylko w wydaniu popularnego „Przekroju", ale również w filmowej adaptacji dociera do nas utwór Saganki. Ale adaptator, autor scenariusza, Artur Laurents, i reżyser filmu Otto Preminger zrealizowali film chyba inteligentniej i ciekawiej wyglądający niż powieść Francoise Sagan. Dali obraz niepokojów młodej dziewczątki, która nie wie sama czego chce i świetnie się bawi z bogatym papciem w lokalach Paryża, wspominając od czasu do czasu swe urocze i kolorowe wakacje, swoją przygodę i intrygę, której była autorką. Nie mamy więc, jak tego niektórzy chcieli od Saganki, owego obrazu rozkładu społecznego, bezsensu życia, a nawet egzystencjalizmu. Filmowe „Witaj smutku" jest tylko studium charakteriologicznym podlotka-kociaka. Poprawnie zrealizowany film okraszony został nie lada nazwiskami: kompozytora Georgesa Aurica — autora znanej piosenki interpretowanej przez Juliette Greco, aktorów: Deborah Kerr, Mylene Demongeot, Dawida Nivena oraz rewelacyjnej gwiazdki anglosaskiej, Jean Seberg.*

*Film zrealizowano na szerokiej taśmie stosując kombinowaną technikę zdjęć czarno-białych i kolorowych.*

*A. N.*

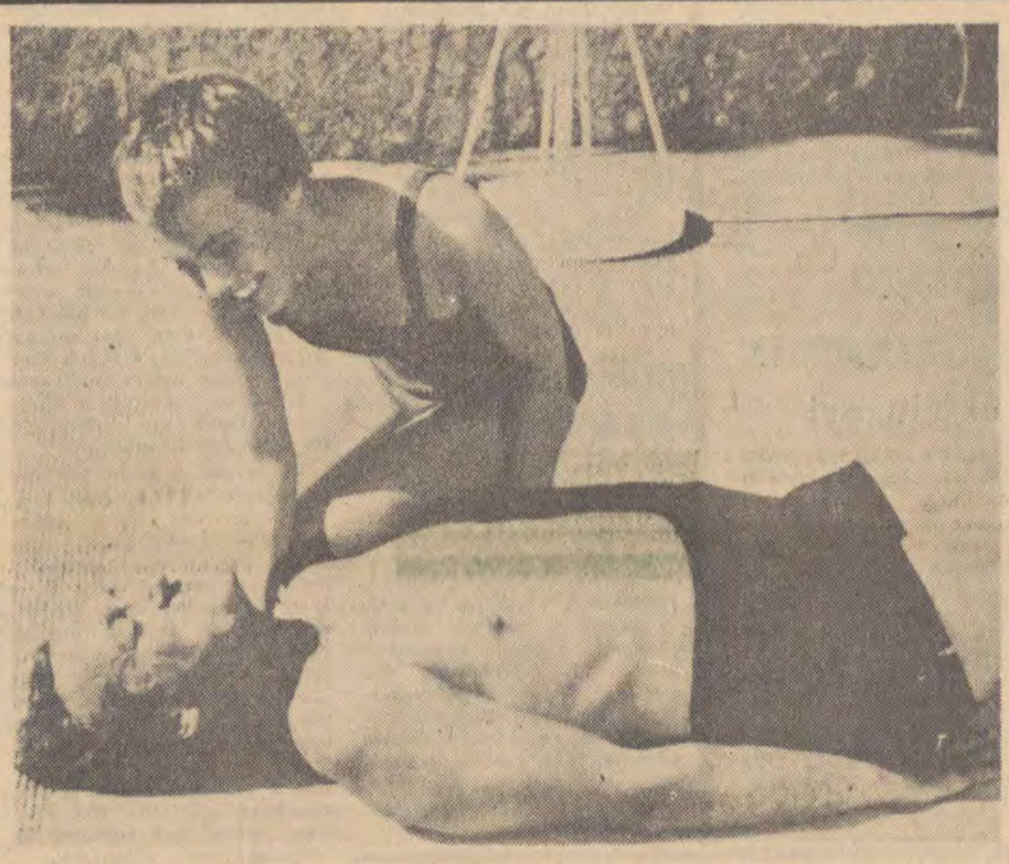

GWIAZDA FILMU FRANCUSKIEGO MICHELE MORGAN

MARIA KORNATOWSKA

# KOBIETA W FILMIE

**Francuzki, a zwłaszcza paryżanki, były zawsze obiektem westchnień płci brzydkiej całego świata, jako wcielenie wdzięku, elegancji i kobiecości. Film zręcznie potrafił wykorzystać wszystkie przymioty jakimi natura hojnie obdarzyła Francuzki. Poza krótkim okresem panowania Włoszek, Francuzki dyktowały Europie modę i styl „nowoczesnej" kobiety. Film francuski stworzył bogatą galerię kobiet, które z mitycznym urokiem gwiazd łączyły prawdziwy kunszt aktorski i kulturę artystyczną. Gwiazdy i gwiazdeczki stały się dla Francji niemal artykułem eksportowym. Wystarczy wymienić casus B. B., która jak głoszą statystyki, przysporzyła swej ojczyźnie więcej dewiz niż fabryka samochodów Renault.**

**Gwiazdy filmowe podlegają nie tyle prawom rządzącym ruchem ciał niebieskich, ile prawom socjologicznym i psychologicznym rządzącym mieszkańcami naszej biednej planety. Dlatego ich losy choć mniej romantyczne i barwne niżby się to na pozór zdawało, bardziej są za to pouczające. I właśnie z tego punktu widzenia warto zastanowić się przez chwilę nad postacią kobiety w francuskim filmie. Wspominaliśmy już w poprzednim felietonie o tzw. „femme-fatalle", związanej bardzo silnie z tradycjami literatury francuskiej owianej nimbem tajemniczości i piętnem romantycznego fatalizmu. Typ ten doskonale reprezentuje Michele Morgan — Greta Garbo made in France — aktorka o fascynujących oczach i twarzy wyrażającej o wiele więcej, niż to, do czego zobowiązuje tekst roli.**

**Postaciom kreowanym przez Michele obcy jest realizm w dosłownym sensie społecznym i psychologicznym, realizm zrośnięty np. z taką aktorką jak Danielle Darrieux. Dominuje w nich zawsze coś niedopowiedzianego, nieuchwytnego, poetyckiego. Kobiety, które samym pojawieniem się, samym istnieniem wywołują niepokój i burzliwy zamęt w sercach męskich („SOS", „Symfonia pastoralna", „Minuta zwierzeń", „Wielkie manewry", „Małgorzata nocy"), mimo iż w gruncie rzeczy pozbawione są wszelkiego erotyzmu i tego co zwykło się określać mianem sex-appealu. Ta postać kobieca ongiś tak urzekająca, przechodzi obecnie wyraźny kryzys, kryzys związany z przeżywaniem się pewnych wartości moralnych i obyczajowych, z przeżywaniem się tradycji i konwencji literackich odzwierciedlających te wartości. Niestety Michele Morgan nie potrafi się już wyrwać z zaczarowanego kręgu fałszywego romantyzmu. Dowodzą tego choćby „Odrodzeni". Mimo rzeczywiście świetnej kreacji aktorskiej, mimo interesującej sytuacji psychologicznej, Michele nie wyszła poza literacki schemat kobiety-odkupicielki, dźwigającej mocą swej miłości „upadłego" mężczyznę. Gorzej bywa gdy literatura w jaką pakuje się nieszczęsną gwiazdę trąci kiczem i tanim melodramatem. Wtedy ze smutkiem i niesmakiem oglądamy „Piękną tancerkę" lub „Zemstę zza grobu".**

B. B.

**O ile Michele Morgan jest istotą, która na płaszczyznę ekranu zstąpiła z wyżyn poezji czy też pseudopoezji, o tyle Danielle Darrieux, zwłaszcza w swym powojennym wydaniu, reprezentuje typ kobiety tkwiącej bardzo głęboko w życiu społeczeństwa francuskiego. Danielle Darrieux — nieco sentymentalna, i nieco frywolna drobnomieszczaneczka. Nigdy nazbyt rozpieszczana i nigdy za daleko nie przekraczająca granic przyzwoitości, zawsze, przynajmniej dla ratowania pozorów, wracająca na łono rodziny i męża („Kochanek o północy", „Czarujące istoty"). Właściwie dosyć chłodna i wyrachowana. Nawet jako zbrodniarka reprezentuje wszelkie ideały i cnoty mieszczańskie. („Siódme niebo"), nawet jako wielka miłośnica nie przestaje być małą, pełną skrupułów i poczucia winy, prowincjonalną mieszczką („Czerwone i czarne"), nawet jako kobieta lekkich obyczajów zachowuje się tak jak szanująca się panienka z dobrego domu. („Dom pani Tellier"). Danielle Darrieux, świetna „Madame de...", nieodrodna córka mieszczańskiego świata zasad, konwenansów i pozorów, załamująca się w ob**

*(Dokończenie na str. 4)*

Wkrótce na naszych ekranach oglądać będziemy pełnowartościowy film dokumentalny Wytwórni Walta Disney'a pt. „Życie pustyni", który stanowi pozycję wyjątkową w tej dziedzinie twórczości filmowej. Tematem filmu jest, jak sam tytuł wskazuje, życie pustyni — we wszystkich jego przejawach, podpatrzone przez wnikliwe oko kamery. Ukazane są sytuacje i całe epizody, które reżyserowała sama natura, których aktorami są zwierzęta oraz rośliny, oprawę scenograficzną zaś projektowała przyroda. Jednak elementy te nie byłyby wystarczające dla stworzenia tak doskonałej całości filmowej, gdyby nie talent realizatorów.

Odbiorowi filmu Disney'a towarzyszy napięcie. Dotyczy to zwłaszcza sekwencji walki, pogoni, śmierci...

Lecz nie tylko tragizm składa się na pasjonującą opowieść o życiu Pustyni Amerykańskiej. Równie dużo, jeśli nie więcej, jest momentów komicznych, czasami groteskowych. Kamera, przez cały czas niemal trzymając w zbliżeniu pyszczki zwierząt, odkrywa zaskakujące czasami podobieństwo

TERESA GAJDEROWICZ

# „Żyjąca pustynia"

tych istot do człowieka, często jakby odbite w krzywym zwierciadle, skarykaturowane i groteskowe, a jednak prawdziwe.

Nie brak tu i popisów tanecznych (sic!) w wykonaniu solowym i w duecie.

Nie obojętną dla realizatorów „Życia pustyni", a wynikającą z ich estetycznych założeń, jest strona zdjęciowa: artystyczna kompozycja kadru polegająca na umiejętnym wykorzystaniu układu linii i brył oraz barw (film jest kolorowy). Dyskretne i wnikliwe zarazem operowanie kamerą — pozwala na uchwycenie rzeczy i zdarzeń, których zwykła obserwacja nie wyłowi z otoczenia.

Na specjalną uwagę zasługuje komentarz napisany z dużym poczuciem humoru i subiektywizmu, na który godzimy się jednak bez zastrzeżeń.

Ciekawe dopełnienie całości stanowi podkład muzyczny, dyskretny, niedostrzegalny prawie, a mimo to świetnie akcentujący pewne momenty, wydobywający dodatkowe walory — bądź tragizm, bądź też komizm czy groteskę odpowiedniej sytuacji.

Na temat wartości naukowej filmu Disney'a wypowiedzą się prawdopodobnie osoby do tego powołane. Miłośników sztuki filmowej uderza natomiast sama koncepcja idealnego niemal połączenia elementów poznawczych, a więc zasadniczych przy tego rodzaju twórczości, z walorami estetycznymi, wydawałoby się — tu drugorzędnymi. Składają się one na film, który z pewnością z jednakowym zainteresowaniem i entuzjazmem będą oglądać dorośli i młodsi widzowie.

EWA NURCZYŃSKA

# DKF na cenzurowanym

**Chyba żadne miasto w Polsce nie ma tak wielkich możliwości kształcenia nowoczesnego odbiorcy współczesnej sztuki jak Łódź. Jedno jest pewne, film zdołał sobie uzyskać prawo obywatelstwa w mieście, które swoją ekonomiczną i społeczną rzeczywistością mogło nie sprzyjać takim poczynaniom. Potwierdzeniem tego może być fakt, że Łódź była pierwszym miastem, w którym powstało kino studyjne (1959 rok), w Łodzi powstał jako jeden z pierwszych w Polsce Dyskusyjny Klub Filmowy — „Włókniarz" (1956 r.).**

**Mimo złych horoskopów, jakie stawiano jego działalności, kino studyjne znalazło w Łodzi szybko prawo bytu i legitymuje się najwyższą frekwencją, ma swoich stałych i przygodnych bywalców, których ściąga tytuł dobrego filmu — nie tylko najnowszego, ale i wznawianego po kilkuletniej przerwie.**

**Inną formę działalności przejawiać mają DKF — bo to przecież nie kina tylko kluby dyskusyjne.**

**W Łodzi, działa w tej chwili dziewięć klubów. Dlatego dziwne jest, że się tak mało w mieście polskiego filmu o nich słyszy i mówi. Toteż nawet dość ogólna analiza pracy klubów wydaje się być w tej chwili jak najbardziej na czasie.**

**Znamiennym jest, że członkowie klubów w większości rekrutują się ze środowiska inteligenckiego. Oprócz klubu przy zakładach im. Marchlewskiego żaden inny nie skupia większej ilości robotników. Przyczyn tego stanu rzeczy szukać można głównie w sposobach rekrutacji członków klubów, a właściwie w braku tych sposobów, bowiem kluby, w zasadzie, nie prowadzą żadnej reklamy ani aktywnego werbunku. Stąd, środowisko robotnicze, któremu bardziej niż innym trzeba wychodzić na przeciw, jest tak nikle reprezentowane w klubach. Nie wydaje mi się, aby przy obecnych formach działalności klubów ich quasi dyskusyjny charakter mógł odstraszać, gdyż widzem kinowym robotnik byłby równie wdzięcznym jak inteligent.**

**To środowiskowe ograniczenie klubów jest chyba również związane z tradycyjną w Łodzi lokalizacją instytucji kultury — prawie wszystkie kluby znajdują się w śródmieściu, peryferie ich nie znają.**

**Mimo, że obecnie kluby przechodzą jakiś ogólny kryzys związany z pewnym odpływem członków, nie starają się rozszerzyć swej działalności poza ustalony krąg.**

**Warto się zastanowić, czy kryzys, o którym wspomniałam pozostaje jedynie w związku z odpływem członków, czy też te dwie sprawy nie mają innego wspólnego źródła? DKF korzystają z puli filmów, które dają do dyspozycji Centralne Archiwum Filmowe w Warszawie, Archiwum Szkoły Filmowej i Centrala Wynajmu Filmów. W ostatnim okresie doszły jeszcze filmy zakupione przez CWF wyłącznie dla DKF-ów. Możliwości współpracy z tymi instytucjami kształtują repertuar i szanse klubów. CAF podała dokładnie ustaloną listę 213 filmów, w ramach której kluby mogą organizować cykle tematyczne, reżyserskie, aktorskie itp. Dla łódzkich DKF główną bazą zaopatrzeniową jest jednak nie CAF, ale Archiwum Szkoły Filmowej. CWF podaje klubom co miesiąc cztery tytuły filmów, ustalone z Federacją DKF. Filmy te mogą członkowie klubów obejrzeć wcześniej aniżeli widzowie normalnych kin. To ograniczenie i ustalenie ilości oraz tytułów zawęża bardzo aktywność Rad Klubów, zdanych na gusty i politykę czynników odgórnych.**

**Kluby, które legitymują się dłuższym okresem działalności znalazły się właśnie obecnie w owym krytycznym punkcie. Lista filmów z archiwów powoli się wyczerpuje, ciekawsze cykle (np. filmy Claira, Eisensteina i Pudowkina, filmy ekspresjonizmu niemieckiego, cykle aktorskie) stali członkowie już obejrzeli. Można pewne filmy powtarzać, ale jeśli klub nie będzie miał nowych członków, to zbyt częste powtarzanie napotyka na sprzeciwy.**

**Wobec takiej sytuacji kluby coraz częściej ograniczają się do wyświetlania dostarczanych przez CWF filmów „zerocekranowych". Nie jest to chyba dostatecznie silna, a zwłaszcza ambitna forma działalności klubów, w ten sposób bowiem schodzą one do roli trochę snobistycznych kin, w których nie trzeba stać w kolejce przed kasą i w których można przeżyć mały dreszczyk, jaki daje satysfakcja obejrzenia filmu nim stanie się on dostępny wszystkim.**

**Repertuar filmowy klubów uaktywniają zakupione w ubiegłym roku filmy, przeznaczone wyłącznie dla DKF. Chociaż sensowność zakupu niektórych z tych 26 filmów może budzić zastrzeżenia, znaleźć pośród nich można dużo bardzo interesujących pozycji np. „Głową o mur" czy „Los Olvidados". Wydawałoby się więc, że w pewnym sensie kluby znalazły furtkę wyjścia z impasu. Filmy przeznaczone wyłącznie dla klubów mogą być magnesem przyciągającym członków.**

**Okazuje się jednak, że filmy te nie znalazły uznania u większości łódzkich klubów, że korzystają one z nich w niewielkim stopniu. Najchętniej ogląda się filmy klubowe w studenckim DKF.**

**Niewątpliwie ambicje wielu członków klubów kończą się na możliwości wcześniejszego obejrzenia „Matki Joanny" czy „Miejsca na górze".**

**Rady klubów zapominają, że założenia klubów to między innymi wspólne oglądanie a nie przypadkowo, lecz sensownie dobranych filmów, które będą nie tylko bawić, ale także kształtować gust widzów.**

**W nazwie klubów figuruje przymiotnik „dyskusyjny", niestety, jak to często z nazwą bywa nie odbija się ona na istotnej działalności DKF, które najczęściej pozostają tylko kinami.**

**Bezinteresowni zapaleńcy z rad spotykają się najczęściej z pewnym oporem przypadkowo dobranych członków, których dyskusja, czy prelekcja nie interesują, którzy w klubie szukają najczęściej wyłącznie lekkiej rozrywki.**

**Na ogół rady napotkawszy na opór rezygnują z batalii — dyskusje stają się wtedy wydarzeniami nie tygodnia, a miesięcy, opuszcza się nawet wstępne prelekcje, klub staje się kinem.**

**Trzeba przyznać, że nie łatwo jest (czym rady się najczęściej tłumaczą) znaleźć w mieście polskiego filmu ludzi, którzy mogliby wygłosić prelekcję, czy poprowadzić dyskusję. Znani „klubokrążcy" albo nie mają prelekcyjnej „iskry bożej", albo mając ją lekceważą swoich słuchaczy niezbyt starannie przygotowując się do występu. Rozżalone często na prelegentów rady nie wiedzą prawdopodobnie, że oprócz kadry praktyków ze Szkoły Filmowej rośnie w Łodzi na UŁ grupa teoretyków filmu, z których umiejętności można chyba skorzystać.**

**Sprawa dyskusji w Dyskusyjnych KF „leży" w tej chwili całkowicie — efemeryczne imprezy dyskusyjne nie ratują sytuacji. Jako charakterystyczny, a bardzo niepokojący przykład można podać działalność Studenckiego DKF, który przecież należy do klubów najbardziej żywotnych. Rada Klubu wykazuje wiele inicjatywy zarówno w dziedzinie repertuaru filmowego jak i organizacji prelekcji i dyskusji. Niestety, nawet środowisko studenckie, od którego można chyba najwięcej wymagać, pozostaje bierne w stosunku do wszystkich wysiłków rady. Zazwyczaj 50 proc. miejsc w 200-osobowym kinie klubu świeci pustkami, a w Łodzi jest przecież około 12 tys. studentów. Aktywność w pracach pozaprojekcyjnych nawet tych niewielu członków pozostawia wiele do życzenia.**

**A może Rada Koordynacyjna DKF w porozumieniu z kuratorem pomyślałaby o stworzeniu Młodzieżowego Dysk. Klubu Filmowego — może uczniowie okazaliby się wdzięczniejszymi widzami i dyskutantami, może na tym etapie należałoby zacząć wychowywać widzów filmowych?**

**Nawet po tak ogólnym przyjrzeniu się pracy Klubów Filmowych jeden wniosek nasuwa się nieodparcie — namnożyło się tych niby-klubów, chyba o wiele za dużo. Straciły one swój istotny charakter, a stały się kinami. Czy nie należałoby zreformować ich organizacji i sposobów działalności?**

# KOBIETA W FILMIE

Dokończenie ze str. 3

**czu prawdziwego cierpienia i autentycznej miłości. Danielle Darrieux — pozytywna bohaterka moralności francuskiego drobnomieszczaństwa. Bohaterka stworzona przez mężczyzn dla użytku i wygody mężczyzny, kobieta widziana oczyma przeciętnego Francuza lub raczej taka, jaką chciałby widzieć przeciętny Francuz. (J. Sielier).**

**Ten ideał cnót niewieścich na miarę wyobraźni i potrzeb płci odmiennej, lansuje nie tylko film ale także radio, telewizja i prasa, zwłaszcza kobieca, a nawet ilustrowane magazyny typu „Cine-telerevue" nie szczędzące swym czytelnikom, ku zbudowaniu ich mieszczańskiej i konformistycznej moralności, niemal ewangelicznych przypowieści zaczerpniętych właśnie ze świata filmu. Niestety, życie w dzisiejszych czasach pędzi naprzód z iście sputnikową szybkością i wyprzedza nawet ideały. Dlatego idąc z postępem, trzeba było trochę rozngliżować zacną mieszczaneczkę, przydać jej nieco pikantniejszych kształtów i krztę sex-appealu. Wszystko to jednak z umiarem i zachowaniem norm przyzwoitości, by nie gorszyć zanadto matek i nie podniecać zanad to czcigodnych ojców rodzin. W ten sposób powstała Martine Carol.**

**„Filmy Martine Carol są robione na eksport ponieważ Martine odpowiada dokładnie takiemu wyobrażeniu Francuzki jakie przyjęło się za granicą" (J. Sieler). Martine Carol nawet w swych najbardziej „śmiałych" kreacjach („Nana", „Lukrecja Borgia", „Madame Dubarry") nie uwłaszczyła nigdy zasadom utartej moralności mieszczańskiej. Jej erotyzm tkwi całkowicie w granicach tej moralności. Nie przypadkowo w „Pięknościach nocy" i „Tajemnicach alkowy" odtwarza kobietę z epoki fin de siecle. Jej genre wywodzi się jeszcze z tamtych czasów. Nawet przecież jako dama lekkich obyczajów, przeciwstawia ona mieszczańskiemu otoczeniu arsenał cnót jakim przynajmniej w założeniach to otoczenie hołduje („Na plaży").**

**I nagle Bóg stworzył kobietę.**

**Nie tyle Bóg, ile Roger Vadim. Kobietę, czyli jak łatwo się domyśleć Brigitte Bardot. Kobietę z krwi i kości. Autentyczną. Stworzoną przez mężczyznę, a przecież wymykającą się całkowicie męskiemu konformizmowi. Naturalnie, pozbawione wszelkiego odcienia sztuczności i fałszywej reklamy, wcielenie erotyzmu i zmysłowości. „B. B. nie jest aktorką ona nie gra, ona istnieje. Nie zdobyła sobie ogólnej aprobaty tak jak Martine Carol ,ponieważ jej istnienie zakłóca konformizm pozafilmowego świata, podważa określone wartości moralne. Jej ekshibicjonizmu nie usprawiedliwia żadna z powszechnie przyjętych definicji: prostytucja lub przypadek patologiczny. Jej moralność niepokoi. Można tolerować na ekranie negację obowiązkowych zasad moralnych pod warunkiem, że przeciwstawia się im jakieś inne zasady, nad którymi można się zastanowić". (J. Sieler) B. B. nie reprezentuje żadnej moralności. Jest sobą. Jest instynktem. Zdaniem Vadima „jest realną postacią młodej kobiety, której pragnienia rozkoszy nie ograniczają już żadne nakazy moralne ani społeczne tabu". Żadna aktorka nie wywołała jeszcze takiego poruszenia i takiej fali entuzjazmu i niechęci. Żadna bowiem nie była do tego stopnia dzieckiem swej epoki. B. B. wbrew pozorom nie stanowi tylko jeszcze jednego mitu filmowego Olimpu. Tworząc jej postać, Vadim zerwał oficjalną maskę konformizmu i hipokryzji kryjącą autentyczną twarz drugiej połowy dwudziestego wieku. Ujawnił i potwierdził kryzys tradycyjnych wartości.. Dał świadectwo prawdzie i tragedii zagubionego pokolenia.**

**MARIA KORNATOWSKA**

D.c. za dwa tygodnie

# *Film o Łodzi*

*„Łódź — miasto nieznane" — taki tytuł nosi filmowa i barwna monografia naszego miasta, ukazująca Łódź począwszy od jej narodzin, poprzez czasy carskie, międzywojenne i okupacyjne aż do chwili obecnej. Powstał średniometrażowy dokument o mieście, które źle zbudowano, mieście, gdzie rodziła się walka o lepszy ład społeczny; mieście, gdzie usuwa się spuściznę przeszłości przebudowując stare i budując nowe. Zrealizowany został film o Łodzi, ośrodku naukowym, Łodzi, ośrodku przemysłowym, kulturalnym. Wykorzystano ciekawe materiały ikonograficzne, stare sztychy i zdjęcia oraz kroniki filmowe. Film wyróżnia się pięknymi zdjęciami Łodzi dzisiejszej odkrywającymi między innymi ciekawą architekturę i elewacje niektórych gmachów.*

*Twórcami filmu o Łodzi są: red. Władysław Orłowski — współautor scenariusza, reżyserzy Stanisław Grabowski i Edward Pałczyński oraz operator Jerzy Gaus.*

# WYBORY od „podszewki”

Dokończenie ze str. 1

nieją tylko w Warszawie i Łodzi.

Kiedy „Adrema“ dostała od nas podział na obwody, na podstawie adresów sporządziła nam imienne spisy wszystkich wyborców. Spisy wydrukowano na specjalnych kartach — po dziesięć nazwisk na każdej.

Przyjechałem do „Adremy“ rano zaraz po telefonie z trzema urzędniczkami Prezydium i na widok olbrzymiego stosu 36 tysięcy kart — bardzo zrzedły nam miny. Trzeba najpierw podzielić stos na trzy mniejsze, bo każda karta ma 3 egzemplarze. Potem ułożyć karty według obwodów, każdy obwód ręcznie zeszyć, końcówki sznurka przykleić do kartonowej okładki i w tym miejscu postawić pieczątkę.

Zabieramy się do tej roboty na miejscu w „Adremie“. Ja nawlekam do każdego egzemplarza 20-centymetrową igłę i szyję, urzędniczki składają i sortują. Tak w kółko przez 3 dni.

Transport gotowych zeszytów ledwo mieści się do „Warszawy“. Cały tył wozu zajęty aż do dachu, resory uginają się. Zespół dzielnych „introligatorów“ wraca do Prezydium tramwajem.

W gmachu czeka już specjalny pokój z regałami. Od chwili złożenia list będą mieli wstęp do niego tylko upoważnieni pracownicy. Otrzymuję pod opiekę klucz od pokoju.

## Sekretarz znienawidził własny podpis

Każdą kartę spisu wyborców — a jest ich jak wspomniałem około 36 tysięcy — osobiście musi podpisać sekretarz Prezydium DRN. Nie wolno posługiwać się faksymile.

Niezmiennie zastaję sekretarza w następującej pozie: brodą trzyma słuchawkę telefoniczną, łokciem lewej ręki podtrzymuje otwarty zeszyt, jednocześnie rozmawia i podpisuje. Przez dwa tygodnie w każdej wolnej chwili — dniami i nocami. Codziennie podpis jest o jedną literę krótszy. Wszelkie „zawijasy“ dawno zniknęły.

W porównaniu z tym nasza obecna robota wydaje się fraszką. Na każdej karcie spisu musimy przystawić dwie pieczątki. Pracy dla dwóch ludzi na 4 dni maksymalna wydajność — jak obliczyłem — 1.100 uderzeń stempla na godzinę. Po takiej praktyce mam zapewnioną pracę na poczcie.

Pracownicy przy stemplach zmieniali się, ale praca szła nieprzerwanie. Trwała od 22 II do 6. III.

## Lista zmieniona jest

Do każdego zeszytu spisu dołączono 10 kart czystych. Nie na próżno. Gdy listy tylko zostały wydrukowane, zaraz trzeba było zacząć wprowadzać zmiany. Najróżniejsze. Skąd się biorą? Oto przykłady:

*Meldunki.* Dziennie od 20 do 100 osób wyprowadza się z dzielnicy lub przybywa. Z referatu meldunkowego nadchodzą wykazy. W ciągu 6 dni — do 27. II wymeldowało się 285 osób a zameldowało — 389. Każde nazwisko trzeba trzy razy wpisać na listę, albo 3 razy skreślić.

*1.380 skreśleń.* Przy ul. Wróblewskiego 10a mieści się Zakład Specjalny, który jest obwodem zamkniętym. Ale „Adrema“ wydrukowała nazwiska pensjonariuszy Zakładu łącznie z nazwiskami mieszkańców obwodu nr. 279. Teraz z każdego egzemplarza spisu tego obwodu musimy wykreślić 460 nazwisk. Równo, pod linijkę.

*Nasi żołnierze.* Gdy już wydaje się że żadnych skreśleń więcej nie będzie, z Wojskowej Komendy Rejonowej przychodzi spis naszych mieszkańców, odbywających służbę wojskową. Wykreślamy trzykrotnie dalsze 1.036 nazwisk. Ta poprawka zajmuje dwu pracownikom po dwa dni robocze.

## Całe miasto szuka ob. Bawła

Sądy też mają swoje do powiedzenia. Nadsyłają nam wiadomości o osobach, pozbawionych praw publicznych. Dziennie 30, a czasem 60 takich pisemek. Tam też muszą mieć lepszy kołowrotek — trafiają do nas pisemka dotyczące nie tylko mieszkańców innych dzielnic Łodzi, lecz — także Pabianic Brzozowa w woj. rzeszowskim, Czeladzi, Ząbkowic Śląskich, Nowych Tych. Żeby nie fatygować nieuważnych organów sprawiedliwości, odsyłamy to sami pod właściwy adres.

25. II. wpływa kolejne zawiadomienie: „Ob. Baweł, zam. ul. Odyńca 10, jest pozbawiony praw publicznych“.

Chcemy ob. Bawła wykreślić, ale nie możemy odszukać takiego nazwiska ani przy ul. Odyńca, ani w ogóle przy żadnej z 800 ulic naszej dzielnicy.

Sprawdzamy w referacie meldunkowym. Żaden Baweł nie był nigdy meldowany na Górnej.

Zwracamy się do Biura Ewidencji Ludności m. Łodzi. Tu również Baweł nigdy „nie zaistniał“.

Okazuje się, że sąd skazał „martwą duszę“. Gdzie jest Bawel?

## 12 tys. wywieszek

Nie bardzo mamy czas zajmować się Bawłem i innymi takimi omyłkami, bo 27 lutego dostajemy z drukarni wywieszki.

W dzielnicy jest ponad 12 tysięcy domów. Dla każdego redisówka, kaligraficznym pismem trzeba wypełnić wywieszkę.

Jedna wywieszka zajmuje około 2 minuty pracy. Nie udaje mi się do tej roboty znaleźć początkowo więcej niż 3 osoby, inni wciąż jeszcze stemplują spisy. Potem przychodzą urzędniczki z MZBM, zakładów pracy. Administracji Domów Mieszk. Nazbierało się 12 osób.

Jednak jest nas za mało. W innych dzielnicach codziennie pracuje w „biurze wyborczym“ średnio po dziesięć osób, u nas udaje się zebrać najwyżej sześć.

## Wiatr przeciwko nam

Szesnastego marca wiał bardzo silny wiatr. W wielu domach pozrywał wywieszki, strzałki i tabliczki na lokalach wyborczych. Powstało zamieszanie, ludzie nie mogli odnaleźć swoich obwodów. Na wypisanie wywieszek poświęciliśmy 400 godzin pracy, teraz trzeba było zaczynać od nowa.

Z wywieszkami był i inny kłopot. Niektórzy blokowi kiedy się dowiedzieli, gdzie będzie najbliższa komisja obwodowa, na własną rękę rozlepili w domach „swoje“, odręczne wywieszki, zanim jeszcze dostali nasze.

Tymczasem podział przewidywał, że domy te należą do innych obwodów. Tak było na Starorudzkiej, Cieszyńskiej, Milionowej. Trzeba było jeździć na miejsce, przekonywać działaczy, tłumaczyć mieszkańcom przyczyny zmiany. Dysponowaliśmy samochodem, ale i tak ta dodatkowa robota trwała cały dzień.

## Wyborcy dają znać

Otrzymujemy wiele telefonów od mieszkańców, że w ich domach nie ma jeszcze wywieszek, choć w innych już są.

To dowód zainteresowania społeczeństwa akcją wyborczą, ale równocześnie dla nas przyczyna niepokoju. Cały dzień 10 marca objeżdżamy dzielnicę, kontrolując wywieszki. W wielu domach znajdują się na niewłaściwym miejscu, są niedostrzegalne. Poprawiamy.

## Listy gotowe!

Jeszcze tylko przewodniczący Prezydium składa na każdym egzemplarzu spisu swój podpis (jeden!) i listy są gotowe.

9 marca zwołujemy komisje obwodowe po odbiór list. Każda komisja dostaje 2 egzemplarze, trzeci zostaje u nas na wypadek kradzieży lub pożaru.

O oznaczonej godzinie zgłaszają się przedstawiciele wszystkich komisji, z wyjątkiem jednej — nr. 335. Odbierają dopiero nazajutrz.

## Pierwszego dnia

Sprawdzanie spisów — niedziela 12 marca — lokale wyborcze w dzielnicy odwiedza dokładnie 11.173 osoby.

Wysuwamy się na pierwsze miejsce w Łodzi.

W obwodzie nr. 337 na Młynku w ciągu tego jednego dnia „sprawdzili się“ wszyscy wyborcy.

Teren Młynka jest rozległy, ale to nie stanowiło przeszkody. Komisja urzędowała do późnego wieczora, obok w świetlicy można było oglądać telewizję.

Młynek dał swoim czynem dowód silnej więzi społecznej mieszkańców.

## Machina sprawozdawcza

Na odprawie w Prezydium RN m. Łodzi w dniu 11 marca informują nas, że mamy prowadzić codzienną statystykę sprawdzania list przez wyborców.

W praktyce wygląda to tak, że każdy obwód musi nam „przedzwonić“ dane z tego dnia w godzinach 18.30 — 19.30. Obwodów jest 73 (plus 3 zamknięte).

Mamy w Prezydium 7 bez pośrednich numerów. Do każdego „przydzielamy“ 10—11 obwodów.

Dzień w dzień przy każdym telefonie dyżuruje jeden pracownik. Po godzinie 19.30 kierujący całością akcji dyktuje maszynistce zestawienie zbiorcze. Sekretarz KD Partii i przewodniczący Prezydium życzą sobie informacji o przebiegu każdego dnia.

Przewodniczący najczęściej jest na spotkaniach z wyborcami. Przy telefonie w domu dyżuruje żona.

Pierwszego wieczoru okazuje się, że nie wszyscy dyżurujący potrafią obsługiwać ... telefon. Kłopoty z czerwonym i białym guzikiem.

Niektóre mniej sumienne obwody nie zgłaszają się wieczorem. Należy rano następnego dnia odszukać członków komisji w ich miejscu pracy.

Po kilku dniach machina sprawozdawcza funkcjonuje już dość sprawnie.

## Dzielnica „przedstawia się“

Górna jest największą pod względem obszaru dzielnicą Łodzi. Jej powierzchnia ma ponad 50 kilometrów kwadratowych.

Od placu Niepodległości do obwodu przy ul. Tomaszowskiej na Dąbrowie licznik „Warszawy“ wybija równo 7 km.

15 marca odwiedzam samochodem 21 obwodów. W żadnym nie zatrzymuję się dłużej niż 5—10 minut. Jednak jazdy starcza na pełne 4 godziny. To daje pojęcie o rozległości dzielnicy.

Wyróżniają się tu, w Górnej szczególnie wyraźnie tzw. „dzielnice naturalne“ (jest ich 14), poprzedzielane terenami rolniczymi. Każda dzielnica inaczej „reaguje“ na akcję wyborczą. Jest nadzwyczajny Młynek i są trudne tereny półrolnicze, jak Józefów czy Chocianowice. Tam sprawdzanie list idzie bardzo opornie.

12 marca (pierwszy dzień) przewodniczący obwodu z ul. Modrzewskiego melduje, że w ogóle nie zgłaszają się mieszkańcy ulic: Karowej, Pikowej, Kierowej i Brydżowej. Muszę wyjaśniać, że na tych ulicach nikt nie mieszka, a są w spisie, bo wytyczają obszar obwodu.

Mamy w Górnej i takie ulice.

Dopiero podczas akcji wyborczej odkrywamy, że posesja nr. 131 przy ul. Dąbrowskiego znajduje się między posesjami o numerach 75 i 99. Emerytowany tramwajarz — mieszkaniec posesji wyjaśnia, że to tak już „od przed wojny“.

W ciągłych jazdach coraz lepiej poznaje dzielnice.

## Sprostowania, sprostowania....

W okresie od 12 do 21 marca wyborcy zgłosili 455 poprawek do list.

Są proste przeoczenia mieszkańców, wypadki śmierci już po wydrukowaniu spisów, rodziny zgłaszają uwięzionych, umysłowo chorych i.t.p.

Ktoś nie figuruje na liście, a kończy 15 kwietnia 18 lat i uzyskuje prawo głosu.

Na każdą reklamację odpowiadamy pisemnie. Codziennie „dowozimy“ pisma do kilku obwodów. Najczęściej przed wysłaniem odpowiedzi musimy reklamacje sprawdzić na miejscu u „poszkodowanego“.

* * *

*W notkach które robię codziennie, stopniowo coraz mniej miejsca zajmuje „technika i organizacja pracy“, a coraz więcej — kontakty z wyborcami w terenie.*

**STANISŁAW CZAJKOWSKI**

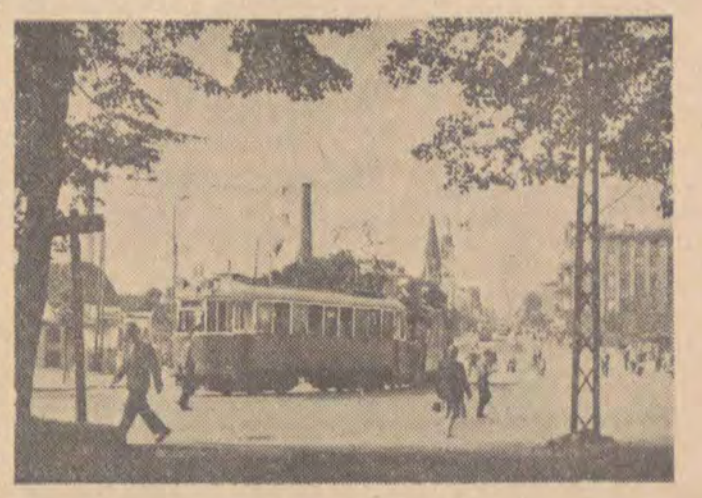

Zdjęcia: W. BILIŃSKI

# Nieznane plemię na piaskach Łeby

Dokończenie ze str. 1

samym jaskrawy przypadek zaistnienia w 2 połowie XX wieku tuż obok potężnych osiągnięć naszej cywilizacji wysublimowanej grupy ludzi, oderwanej całkowicie od reszty społeczeństwa przeszkodami naturalnymi (piasek, woda) oraz przeszkodami natury administracyjno-biurokratycznej — (miejscowe organa władzy nie chcą uznać ludzi z pustyni za pełnoprawnych obywateli, bo nie mają oni metryk). W wypadku Wydmików, typ prowadzonej przez nich gospodarki zadecydował o całokształcie kultury materialnej gromady, jak i kultury w ogóle, zapożyczonej zresztą z minionych formacji ekonomicznych. Muszę z żalem oznajmić, że pomimo 8-dniowego pobytu wśród ludzi z pustyni łebskiej nie udało mi się ustalić ani ich rodowodu, ani przyczyn dla których osiedlili się w tych niewdzięcznych i surowych dla człowieka warunkach.

Fakt jednak, że istnieją, że są ludzie pozostający w separacji, niezauważeni, będący w epoce lotów międzyplanetarnych na poziomie zaledwie wspólnoty pierwotnej, oddaleni kilkanaście kilometrów od miasteczka Łeba, gdzie jest radio, prasa i kino, zmusza do zastanowienia. Sprawa ludzi z pustyni pozostaje dla nas otwarta.

**Mieszkańcy z pustyni łebskiej budują ziemianki, w których spędzają długie zimowe wieczory. Na zdjęciu widzimy gromadę mężczyzn u wejścia do takiej właśnie ziemianki.**

**Ruchome piaski zmuszają Wydmików do częstych przeprowadzek w poszukiwaniu dogodniejszych terenów. Wędrują oni wtedy z całym swoim dobytkiem.**

**Pustynne psy reprezentują ubogą faunę tych terenów. W okresach głodu są jedynym pokarmem Wydmików.**

**Potrzebny im sprzęt i ubranie uzyskują prowadząc handel wymienny z okoliczną ludnością. Ta ostatnia w pogoni za łatwym zyskiem, dociera do nich drogą lądową, lub bardziej wygodną, to jest przybrzeżnym szlakiem morskim.**

**Koczująca rodzina w czasie przeprowadzki.**

**Tekst i zdjęcia: ANDRZEJ KONDRATIUK**

## JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ — PRZEKŁADY Z POEZJI AMERYKAŃSKIEJ

EDWARD ESTLIN CUMMINGS

### jechała moja miłość a cała w zieleni

jechała moja miłość a cała w zieleni
na wielkim złotym koniu
przez poranek srebrny.

cztery chude psy biegły uśmiechnięte
wesoły jeleń przed nimi.

Lotniejsze niźli jabłkowite sny
szybki słodki jeleń
czerwony cenny jeleń.

Cztery czerwony korły u wód białych
okrutna trąbka śpiewała przed nimi.

Z rogiem u biodra biorąc w biegu echo
jechała moja miłość
przez poranek srebrny.

cztery chude psy biegły uśmiechnięte
płaskie łąki przed nimi.

A łagodniejsze niż szumiący sen
giętki gładki jeleń
lotny lekki jeleń.

Cztery lotne łanie w złocistej dolinie
głodna strzała śpiewała przed nimi.

Z łukiem u pasa biorąc w biegu góry
jechała moja miłość
przez poranek srebrny.

cztery chude psy biegły uśmiechnięte
strome szczyty przed nimi.

A bledsze niż straszydło śmierć
wątły wiotki jeleń.
rosły rwący jeleń.

Cztery rosłe rogacze na zielonych wzgórzach
szczęśliwy łowca śpiewał przed nimi.

Jechała moja miłość a cała w zieleni
na wielkim złotym koniu
przez poranek srebrny.

cztery chude psy biegły uśmiechnięte
me zmarłe serce upadło przed nimi.

WALLACE STEVENS

### Święta świeca

Zielona jest noc, zielony ma płomień i strój.
To ona kroczy między astronomów.

To ona ponad królikiem i kotem.
Ta figura szlachetna, zstępująca z nieba,

Ona między śpiącymi, tymi mężczyznami,
Którzy leżą, śpiewając ZIELONA JEST NOC.

Zielona jest noc, z obłędu utkana,
Z obłędu astronomów i z obłędu tego,

Który widzi w szmaragdzie królika i kota,
Bo patrzy dalej, niż astronomowie,

I patrzy wyżej, widzi nad nimi wstającą
Tę figurę szlachetną, esencjalny cień,

Ruch i istnienie, obraz u źródła obrazu,
Królowa archaiczną, abstrakt, Zielona jest noc.

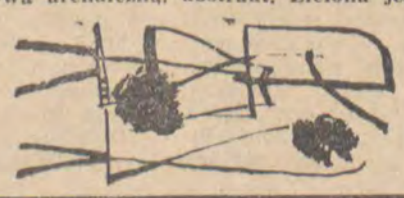

## informacje i zaczepki

❖ Bardzo interesującą i godną kontynuowania rubryczkę fotoinformacyjną pt. „Z albumu Łodzi" wprowadził na swe łamy „Dziennik Łódzki". ❖ Młody grafik Kazimierz Mozolewski znany Czytelnikom „Karuzeli" „Szpilek", „Trybuny Ludu", a nawet „Eulenspiegla" i „Rohaca" — wystawił ostatnio swe rysunki w Klubie Studenta. ❖ I sekretarz Komitetu Łódzkiego Partii tow. Michalina Tatarkówna ofiarowała piękny radioodbiornik niedawno wybudowanej szkole dla dzieci niedowidzących. ❖ Optymistyczną informację znaleźliśmy niedawno w jednej z łódzkich gazet — z informacji wynika, że najpopularniejszą formą upowszechniania kultury są podobno w naszym mieście odczyty. ❖ Pechowcem — łódzki „Express" nazywa piłkarza ukaranego dyskwalifikacją „za obrazę sędziego w towarzyskim meczu z Marymontem", nam się wydaje, iż bardziej odpowiednie byłoby określenie chuligan. ❖ Już 15 lat ukazuje się redagowane w Łodzi pismo Zarządu Głównego Związku Pracowników Przemysłu Włókienniczego, Odzieżowego i Skórzanego „Nasze Życie", które ma również na swym koncie wydane prace z historii ruchu robotniczego i związkowego, biuletyny, układy zbiorowe, plakaty o łącznym nakładzie kilkudziesięciu tysięcy egzemplarzy. ❖ Na werandzie jednego z domów przy ul. Starorudzkiej znajduje się zupełnie nie zabezpieczony i narażony na zniszczenie księgozbiór wartości kilkuset tysięcy złotych, będący własnością p. J. Gajka łódzkiego bibliofila i historyka, którego „zacni" współlokatorzy nie chcą wpuścić do zajmowanego uprzednio pokoju. ❖ Teatrzyk Satyryczny Łódzkich Studentów AM „Cytryna" na ogólnopolskim przeglądzie zespołów Akademii Medycznych w Warszawie zdobył I miejsce za program „Historia kłopotliwa z muzyką, strzałami i morałem" wyprzedzając — mówiąc językiem sprawozdawców sportowych — o kilka długości zespoły Warszawy, Krakowa i Lublina. ❖ Interesującą inicjatywę podjął klub-kawiarnia ZMS organizując koło dyskusyjne, które omawiać będzie problemy współczesnej kultury, sztuki, etyki. ❖ Trzy dni trwał w Łodzi Festiwal Pieśni Chóralnej będący przeglądem najlepszych zespołów chóralnych Łodzi i województwa. ❖ W ubiegłym tygodniu eksponowana była w Łódzkim Klubie Międzynarodowej Książki i Prasy wystawa-kiermasz książek naukowych londyńskiego wydawnictwa Oxford University Press.

I.

W trakcie przyjacielskiej pogawędki ktoś zwrócił się do niego:

— Każdy człowiek ma jakąś cechę, która odróżnia go od innych. A jaką cechę pan posiada?

Podniósł szare oczy, w których zastygł wieczny smutek i skromnie odpowiedział:

— Pracowitość... Akuratność, dokładność w pracy.

Wszyscy się zaśmieli.

— Tylko to? Mało, mało...

— Nie szkodzi.. Mnie wystarczy.

Człowiekiem, który miał tę jedną tylko właściwość — pracowitość — był Charłampiew. Drobny, niepozorny, utykający Charłampiew. Zawsze chodził z olbrzymim parasolem, który wyglądał jak jego starszy brat. Żył z tego, że pisywał smutne rzeczy do smutnych gazet i tygodników.

Gdyby napisał coś wesołego — nie przyjęliby.

II.

Pewnego ranka, gdy Charłampiew siedział przy stole i popijał herbatę, odwiedził go Wołkodawski. Usiadł obok Charłampiewa i długo milczał.

— Co panu dolega? — spytał Charłampiew.

— Słyszałem o panu przykre rzeczy... Nigdy bym nie przypuszczał...

Oblicze Wołkodawskiego było pochmurne, zdradzało podenerwowanie

— Co takiego? — spokojnie spytał gospodarz.

— Kiedyś powiedział pan o sobie, że bardzo pan lubi akuratność i dokładność w pracy, pamięta pan?... Dzisiaj doszły mnie słuchy o takiej pana pracowitości, że niech Pan Bóg zabroni!... Wie pan co mi powiedziano? Że pracował pan przed laty w Charkowie jako urzędnik pocztowy i był pan podobno tak pracowity, że ani jeden list nie dochodził do adresata, bo odrywał pan z listów znaczki a same listy wyrzucał. Miał pan nawet z tego powodu jakieś przykrości z wartościowym listem... Zdaje się, że siedział pan też w więzieniu... Jako uczciwy człowiek nie puszczam tych wiadomości w obieg, tylko przychodzę do pana zapytać, czy to prawda. Jeśli kłamstwo — sprawi mi wielką radość uścisnąć pana rękę. A jeśli prawda...

— Chwileczkę — przerwał mu Charłampiew. — Nie musi mi pan ściskać ręki, proszę tylko powiedzieć: kto panu o tym mówił?

— Tego nie mogę wyjawić... Dałem słowo...

— Niech pan posłucha — szybko pocierając ręce powiedział Charłampiew. Dlaczego człowiek, który opowiadał panu o mojej przeszłości, wymógł na panu dyskrecję? Dlatego, że się bał konsekwencji? Mogłoby to nastąpić tylko wtedy, gdyby ów facet wymyślił te fakty z mojej przeszłości. Wówczas nie powinien pan wierzyć niegodziwca. Myślę jednak, że on sam tego nie wymyślił, ale usłyszał od kogoś — jestem nawet o tym przekonany. W takim razie człowiek ten niczym nie ryzykuje i nie powinien obawiać się żadnych przykrości...

— Ma pan rację — zgodził się prostolinijny Wołkodawski. — Mówił mi o tym Aleksander Kozubowicz..

— Dziękuję... Mario, zdejm mi walizę z antresoli! Zapakuj trochę bielizny, papierosy i rewolwer. Wyjeżdżam...

— Dokąd pan wyjeżdża?— spytał, otwierając szeroko oczy Wołkodawski.

— Mało to jest miejsc, dokąd można jechać? W tej chwili jeszcze nie wiem jak mi się ułoży marszruta. Pracowity człowiek musi pracować. Nie wolno mi więc siedzieć na jednym miejscu. Żegnam pana! Bardzo jestem zobowiązany za wiadomość. Myślę, że będzie pan miał jeszcze okazję uścisnąć mi dłoń, Mario! Nie zapomnij o moim parasolu!

Tegoż dnia przed obiadem Charłampiew usadowił się z walizą w dorożce i pojechał.

III.

Kozubowicz zabierał się do obiadu

— Proszę powiedzieć panu — zadźwięczał w korytarzu jakiś cienki głos, — że Charłampiew chce się z nim zobaczyć w pilnej sprawie... Jedna minutka i już mnie nie ma...

— Charłampiew! — radośnie zawołał gospodarz. — Proszę, niech pan wejdzie do pokoju!

Mały Charłampiew wszedł, trzymając w jednej ręce walizę a w drugiej olbrzymi parasol.

— Dokąd to się pan wybiera? — spytał gospodarz zdziwiony.

— Jeszcze sam nie wiem. Niech pan posłucha, Kozubowicz. Kto panu powiedział, że pracowałem w Charkowie jako urzędnik pocztowy, że odklejałem znaczki i kradłem listy wartościowe?

Kozubowicz zmarszczył czoło i zagryzł wargi.

— Aach, ten Wołkodawski! — powiedział ze złością. — Charłampiew. — Z tobą nie będę się długo certował. Kto ci mówił o moich wyczynach na charkowskiej poczcie? Szybko! Bo rozłupię ci zaraz twoją pustą głowę jak orzeszek!...

Pietia zadzwonił zębami i oparł się o krzesło.

— Jak się masz? Jak zdrowie?

— Kto ci mówił? Imię, nazwisko!

— Mój Boże! Taka historia.. Zachar Mironow powiedział mi o tym. Ale, posłuchaj — on wyjechał w zeszłym tygodniu do Odessy.

— Nie szkodzi. Pojadę za nim. Popatrz, walizeczka przygotowana.. Tylko... Pietia! Nie kłamiesz? Jeśli chcesz mnie zbić z tropu, pamiętaj, wrócę z Odessy i zastrzelę cię!

— Mój Boże, nie kłamię!

— No, do widzenia, Pietia. Dziękuję ci.

Charłampiew chwycił swą walizę, parasol, rewolwer wsunął do kieszeni i, kulejąc, małymi kroczkami wytoczył się na ulicę.

— Dorożkarz! Na dworzec!

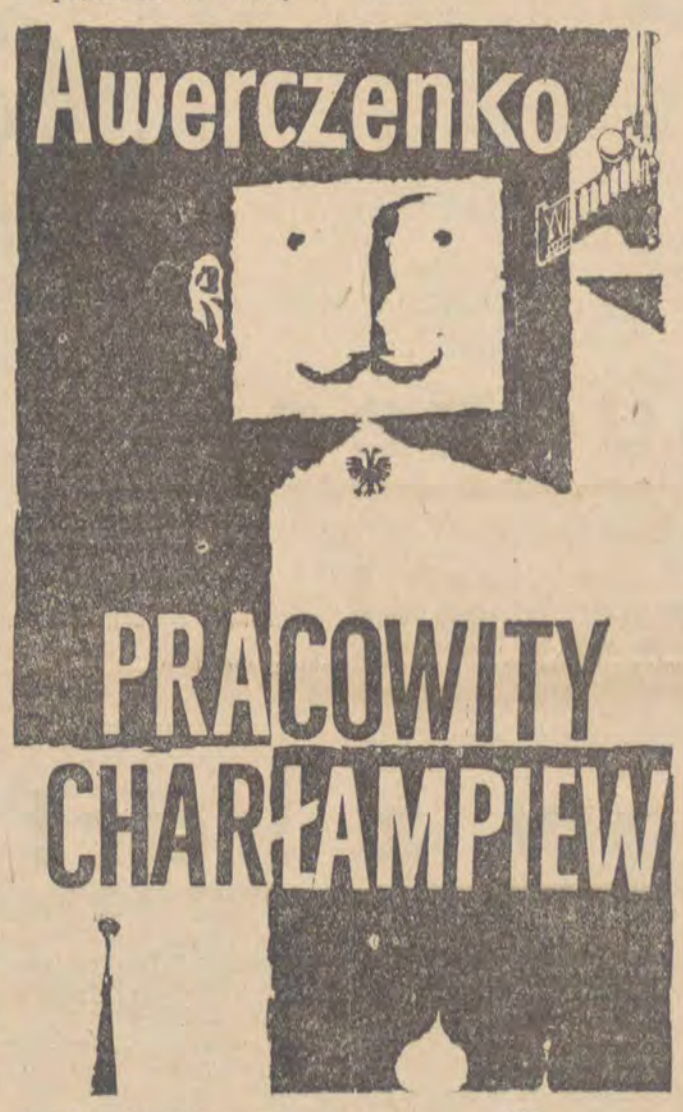


Zupełnie jak baba... Dał mi przecież słowo, że będzie milczał..

— Od kogo pan to słyszał? — jeszcze raz cienkim głosikiem spytał Charłampiew, błyskając szarymi, smutnymi oczyma.

— Hm... Myślę, że to doprawdy nie ma sensu... Może to zwykła plotka?

— Tym bardziej... Kto to panu powiedział?

— Doprawdy... Jestem w kłopocie...

Charłampiew podszedł do swej walizy, otworzył ją i wyjąwszy rewolwer, wycelował w gospodarza.

— Jeśli nie powie pan — wycedził cichutko — od kogo pan to słyszał, upewni mnie pan w przekonaniu, że sam pan to wymyślił. Wówczas pana natychmiast zastrzelę.

— Co pan?!.. wyszeptał szybko Kozubowicz. — To Pietia Warnakin mówił mi o tym. Kiedy to mogło być?... Zaraz, zaraz. Przedwczoraj w restauracji. Tak jest, przed wczoraj. Co ty, Pietia, powiadam... Jakże to możliwe?

Pracowity Charłampiew wziął parasol, z trudem podniósł swą walizę i kiwnąwszy na pożegnanie głową, pospiesznie opuścił pokój.

Pietia Warnakin był niezmiernie zdziwiony, gdy ujrzał w swym pokoju sublokatorskim Charłampiewa z walizką w jednej ręce a z rewolwerem w drugiej i parasolem pod pachą.

— Pietia! — oświadczył Charłampiew. — Z tobą nie będę się długo certował. Kto ci mówił o moich wyczynach na charkowskiej poczcie? Szybko! Bo rozłupię ci zaraz twoją pustą głowę jak orzeszek!...

Pietia zadzwonił zębami i oparł się o krzesło.

— Jak się masz? Jak zdrowie?

— Kto ci mówił? Imię, nazwisko!

— Mój Boże! Taka historia.. Zachar Mironow powiedział mi o tym. Ale, posłuchaj — on wyjechał w zeszłym tygodniu do Odessy.

— Nie szkodzi. Pojadę za nim. Popatrz, walizeczka przygotowana.. Tylko... Pietia! Nie kłamiesz? Jeśli chcesz mnie zbić z tropu, pamiętaj, wrócę z Odessy i zastrzelę cię!

— Mój Boże, nie kłamię!

— No, do widzenia, Pietia. Dziękuję ci.

Charłampiew chwycił swą walizę, parasol, rewolwer wsunął do kieszeni i, kulejąc, małymi kroczkami wytoczył się na ulicę.

— Dorożkarz! Na dworzec!

IV.

Mironowa odszukał w Odessie z dużym trudem. Ten, dowiedziawszy się, że Charłampiew ma przy sobie broń, przyjął go z otwartymi ramionami.

— Niech pan będzie uprzejmy mi powiedzieć — miękko spytał Charłampiew — od kogo pan słyszał, że ja, jako urzędnik pocztowy w Charkowie, byłem zamieszany w kradzież znaczków i listu wartościowego?

— Wie pan? Ja w to nie wierzę.

— Bardzo dziękuję. Ale od kogo pan to słyszał?

— Niech pan da temu spokój. Lepiej chodźmy na kolację. Po co powtarzać bzdurne plotki?

— Jeśli w tej chwili nie poda mi pan źródła tej wiadomości, zabiję pana.

— Więc?

— Maria Ostrouchowa.

— Gdzie ją teraz zastanę?

— Pojechała do brata. Do Łodzi Tam ją pan znajdzie.

Charłampiew westchnął, zabrał swoje rzeczy, wsunął rewolwer do kieszeni i opuściwszy nieśmiało głowę, wyszedł.

Ostrouchowa odesłała go z Łodzi do Maksudowa w Rostowie, Maksudow wyraził mu serdeczne współczucie i przerzucił go do Samary. Z Samary pojechał do Riażska, gdzie uzyskał pocieszającą wiadomość: okazało się, że inżynier Kogortow, odkomenderowany do Riażska, dowiedział się o pocztowych sprawkach Charłampiewa od Wałkina, który mieszkał stale w tym samym mieście co Charłampiew — w Petersburgu.

Jakiś wewnętrzny głos podszepnął Charłampiewowi, że nić doprowadza go do kłębka.

Wróciwszy do Petersburga, prosto z dworca, nie wstępując nawet do domu, udał się do Wałkina.

— Wałkin — powiedział, stawiając na podłodze walizę, parasol i wyjmując z przyzwyczajenia rewolwer, — znam mnie pan. Przejechałem pół Rosji i nie zawahałbym się nawet przed podróżą za granicę, żeby odszukać tylko koniec tego sznura, który mnie owinął. Niech pan spojrzy mi w oczy i powie: kto panu powiedział o tym, że ja, będąc urzędnikiem pocztowym w Charkowie, kradłem znaczki z listów, i że złapano mnie na kradzieży listu wartościowego?

— Pan bardzo schudł i zmizerniał — powiedział współczująco Wałkin. — Czyżby doprawdy przejechał pan w tej sprawie pół Rosji?

— Tak, jestem pracowity i akuratny.

— Żal mi pana... Niech pan schowa swój rewolwer. I bez tego bym panu powiedział! Mówił mi o tym Ilia Ilicz Pajalnikow.

— Coo? Ilia Pajalników? — Charłampiew zaśmiał się chrypliwie. — No, teraz już na pewno koniec. Daje mi pan słowo honoru, że potwierdzi pan to, co pan przed chwilą powiedział?

— Nawet trzy słowa!

V.

U Pajalnikowa byli goście: dwaj urzędnicy, artysta Mstiwoj i Wołkodawski.

— Proszę nic nie mówić swemu panu o mnie — powiedział mały Charłampiew, gdy służąca otworzyła mu drzwi. — Sam się zamelduję...

Wszedł w palcie, z walizą i parasolem w ręku. Z nikim się nie przywitał, postawił walizę na podłodze, usiadł na niej, parasol położył sobie na kolanach i podparłszy głowę drobnymi piąstkami bystro wpatrywał się w pełną, kwitnącą twarz Pajalnikowa.

— Co się z tobą dzieje? — zdziwił się gospodarz. — Waliza, parasol, jakby się dokądś wybierał. Czemu się z nikim nie witasz?

— Zaraz — odparł Charłampiew, dziwnie spoglądając na niego. — Ty, Iliusza, mówiłeś Wałkinowi, że ja, pracując na poczcie charkowskiej, kradłem znaczki i listy wartościowe? Poczekaj — poczekaj, nie zaprzeczaj. Nie chcesz chyba, żebym ściągał tu Wałkina? Iliusza! Mógłbym zadać ci to samo pytanie, co innym: kto ci o tym mówił? Ale to zbyteczne. Przecież w Charkowie przebywaliśmy w jednym i tym samym czasie i ty doskonale wiesz, że ja w ogóle nigdy na poczcie nie pracowałem. Tyś był wówczas studentem, a ja pracowałem w gazecie. Tak czy nie? W zeszłym roku prosiłeś mnie, żebym napisał artykuł o zbudowanym przez ciebie moście, ale odmówiłem ci. Czyżbyś mi za to płacił pocztowymi znaczkami? I co teraz powiesz na to wszystko? Mówiłeś Wałkinowi o mnie, to fakt. Znasz moje dzieje w Charkowie — to też fakt. Nie możesz więc nawet wyprzeć się i powołać na jakiegoś nieboszczyka, który za życia doniósł ci o tym. No i co?... Co mam teraz z tobą zrobić? Chyba tylko to...

Pracowity Charłampiew podniósł się ze swej walizy, podszedł utykając do gospodarza i wspiąwszy się na palce uderzył go w twarz.

Po czym pokuśtykał do Wołkodawskiego i wsunął mu w dłoń swą maleńką rękę.

— Proszę. Niech pan uściśnie, jeśli ma pan ochotę..

— Z przyjemnością — zaśmiał się prostolinijny Wołkodawski. — Chodźmy stąd, kochany. Niech żyje pracowitość!

Przełożył:
**ADAM OCHOCKI**

ELŻBIETA WRÓBLEWSKA

# OSTROŻNIE z MELPOMENĄ!

Melpomena się martwi. Właściwie nie tyle Melpomena, ile martwią się za nią na łamach „Odgłosów" kolejno p. Kaszyński i p. Bobrowska, pragnąc ocalić od zapomnienia jej bujną przeszłość łódzką. Troska pożyteczna i uzasadniona. Martwimy się więc za łódzką Melpomenę, byle z efektem i byle ten efekt nie był dla Muzy szkodliwy. Trzeba bowiem pamiętać o tym, że wszelka sztuka jest od nas oddalona najbardziej wtedy, kiedy otacza ją mur naszej o niej wiedzy. Myślę, oczywiście, o wiedzy specjalnego gatunku — niepodważalnej, a jednak fałszywej. Możemy dowiedzieć się dokładnie, co kto myślał i pisał o Zelwerowiczu i jak to było z każdym dniem pobytu Iry Alridge'a w naszym mieście, a nie poznać nigdy prawdy o minionym teatrze. Co gorsza, możemy wiedzę o faktach dotyczących „życia teatralnego" wziąć za znajomość Melpomeny i poprzestać na takim intelektualnym snobizmie.

Ażeby wykluczyć nieporozumienia zaznaczam, że nie neguję potrzeby poznania faktów, ale powinno być ono potraktowane tylko jako materiał do prac naukowych, jako działalność pomocnicza.

Artykuł p. Bobrowskiej wzbudził we mnie pewne obawy. Zacznę od jego tytułu. Nie sądzę, aby trzeba było stawiać alternatywę — „muzeum czy pracownia naukowa", jak czyni to autorka. Nie są to wcale projekty przeciwstawne, ale raczej wzajemnie się uzupełniające — chyba, że w grę wchodzą sprawy funduszowe. O tym jednak może być mowa dopiero w stadium realizacji.

Określenie „pracownia naukowa" budzi poza tym, w wypadku nauki o teatrze, pewne lęki werbalne. Wyobrażam sobie już na tle tej nazwy gromadkę etatowych naukowców, ustalających najdrobniejsze szczegóły wydarzeń związanych z teatrem i pełnych przekonania, że są na najwyższym szczeblu wtajemniczenia w sprawy melpomenowe. Zanim ktoś zarzuci mi, że są to obawy bezpodstawne, niech się zapozna z dotychczas wydanymi pracami o naszym teatrze i faktologiczno-plotkarskim zamętem, jaki w nich panuje. Papier niestety zdrożał, stawiając nieco większe niż dotychczas wymagania badaczom, publikującym wyniki swoich dociekań. Publikacja powinna być wynikiem dość już zaawansowanych prac, a nie ich początkiem. Nauka o teatrze natomiast jest na naszym terenie wynalazkiem stosunkowo świeżym. Od niedawna dopiero zaczęto traktować teatr jako odrębną dziedzinę twórczości, która w żadnym wypadku nie może się zmieścić w ramach historii literatury. Dlatego badania teatrologiczne muszą na pierwszym miejscu stawiać walkę o metodę.

W obecnym stadium rozwoju wiedzy o Melpomenie krótki zarys historii teatru, którego wydanie proponuje p. Bobrowska jako najpilniejsze zadanie, mógłby egzystować najwyżej na prawach bryku przydatnego do egzaminów. Napisanie prawdziwej historii teatru będzie możliwe dopiero po szeregu prób o wąskim zakresie, oraz po wydaniu pewnej ilości prac, dotyczących poszczególnych zagadnień teatralnych.

W chwili obecnej więcej dowiemy się o Zelwerowiczu jeśli ktoś potrafi określić, jakie problemy musiał rozwiązać np. przy inscenizacji „Snu srebrnego Salomei", niż wtedy, gdy zapoznamy się z kompletnym ,ale i z powierzchownym zarysem jego pracy dyrektorsko-administracyjnej. Sądzę nawet, że warto by ogłosić konkurs na pracę o teatrze łódzkim i może spośród laureatów tego konkursu wytypować zaczątek jakiegoś ośrodka badań nad teatrem. Nie protestuję bynajmniej przeciwko instytucjonalnej formie tych badań i tylko przeciwko ich błędnym założeniom — z tym zastrzeżeniem jednak, ażeby kierunek był wyznaczany przez osoby, które mogą wylegitymować się odpowiednimi kompetencjami. Autor „Melpomeny frasobliwej" proponuje założenie przy łódzkim muzeum teatralnego, przeciwko czemu zdecydowanie zaoponowała p. Bobrowska, wysuwając argument: nie można się chwalić wtedy, kiedy nie posiadamy nawet zarysu historii teatru łódzkiego.

Nie sądzę, aby propozycja założenia muzeum obliczona była tylko na efekt. P. Kaszyński, jako teoretyk nauki o teatrze, z pewnością dobrze zdawał sobie sprawę ze znaczenia, jakie miałaby tego rodzaju placówka. Słusznie. Zbierajmy stare afisze, programy, fragmenty dekoracji, a nawet kawałki kurtyny i stare buty, w których występował Jaracz. Po co? Przede wszystkim dlatego, żeby uprzytomnić zwiedzającym to przyszłe muzeum, a w szczególności osobom interesującym się nauką o teatrze, co to jest teatr, żeby — ukazać prawdziwą, tragiczną twarz Melpomeny, która nie potrafi zachować swoich wielu przemijających wcieleń. Oprócz wartości poznawczych takie muzeum zawierałoby na pewno znaczny ładunek emocjonalny. Teatr jest jedyną sztuką, której materialna postać przepada bezpowrotnie, pozostawiając po sobie tylko nieliczne rekwizyty. Percepcją współczesnych w jakiś sposób utrwalony (recenzje), egzystuje dla nas pod wieloma znakami zapytania. Nie łudźmy się, że nasze zbiory sięgną początków teatru łódzkiego. Z pewnością szczątki wielu znakomitych przedstawień przepadły bez śladu. Zaistnieje jednak natychmiastowa konieczność zasilania zbiorów dokumentami z czasów dobrze nam znanych, a nawet współczesnych. Za kilka lat i po niedawnych spektaklach może zaginąć ślad. Muzeum byłoby więc na wpół współczesne — jedyne w swoim rodzaju. Trzeba to muzeum założyć jak najprędzej. Nie rezygnując przy tym z prac naukowych, oczywiście. Ale ostrożnie z Melpomeną, gdyż jest to Muza trudna do zdobycia.

# Znudzeni wśród domków z kart

RAFAŁ ORLEWSKI

*„Jest miasteczko, w tym miasteczku*
*słońce w górze lśni —*
*latem możesz coś nad rzeczką,*
*zimą to już nic;*
*dzień podobny do dnia,*
*tydzień do tygodnia —*
*wciąż na naszych młodych plecach*
*nuda wiesza psy...“*

Kolumna jest osiedlem, którego rozwój ludnościowy datuje się podwójnie: Powstała w dwudziestoleciu jako letnisko dla łódzkich co bogatszych, dzięki którym wybudowano w sosnowym lesie szereg will, dziś pieczołowicie odnawianych i konserwowanych przez miejscową radę narodową. Dzisiejsi mieszkańcy Kolumny „błogosławią“ wille w sposób niewybredny, czemu trudno się dziwić, zwłaszcza zimą. Przydziały opałowe raczej skromne, jakość węgla także nie eksportowa. A kolorowe budynki — to domki z kart — jak powiedział mi z troską pewien „świeżo upieczony“ ojciec. Na pocieche zostaje piękny krajobraz i słynne już „mahoniowe powietrze“.

Mieszkańcy w liczbie około 5 tys. są konglomeratem rodzin przybyłych tu dosłownie ze wszystkich stron Polski. W czterdziestym piątym podział poglądów i mentalności przebiegał pośrodku. Jedni nazywali drugich (głównie przybyłych z Wilna) c h a z i a j a m i, ci zaś rewanżowali się epitetem m a z u r y.

Dziś różnice zatarły się, szczególnie wśród młodzieży. Młodzi porzucili szowinizmy rodziców — chodząc razem do szkół, żeniąc się i po prostu wzrastając wspólnie w szarej codzienności.

Przepraszam. Nie każde pokolenie dorastających pozwoli wodzić się za nos nudzie. Nie trzeba romantycznych podniet w rodzaju zbrojnej walki z okupantem, by mieć co robić i nie „czkać“ z nudy. O tym mówią ci, którzy kilkanaście lat wstecz bardziej wierzyli we własne siły, nie czekali na przysłowiową mannę.

W pierwszych trudnych latach Rzeczypospolitej organizacje młodzieżowe wystawiały sztuki, zorganizowały ludowy zespół sportowy, czynnie pomagały umacniać nową rzeczywistość. ZWM-owcy, harcerze, sportowcy tworzyli atmosferę po której zostały tylko wspomnienia.

— Jeżeli tak — pytałem — to dlaczego ten ruch rozlazł się w szwach? Dlaczego dzisiejsze „nastolatki nie rozwijają w pełni owych kulturotwórczych zaczątków — tak potrzebnych społecznie w małej miejscowości? Dlaczego jedyną bronią młodych jest „rzucanie mięsem“, a w wypadku sprowokowania do szczerości — skarga, że dzień jak co dzień?

* * *

Przypatrzmy się bliżej, jak to jest z tą nudą. Czy naprawdę „dzień jak co dzień?“

Kolumna jest osiedlem robotniczym, pozbawionym w zasadzie zakładów pracy. Robotnicza Spółdzielnia Zaopatrzenia i Zbytu, zakład prefabrykatów betonowych, zatrudniają niewielu mieszkańców. Większość pracuje w Łodzi, Pabianicach. Młodzi także — o ile zdołają otrzymać pracę. Sporo kończy szkołę podstawową i nie uczy się dalej. Inni zdobywają zawód w zasadniczych szkołach zawodowych, dojeżdżając codziennie do Łodzi w Kolumnie jest tylko szkoła podstawowa). Do technikum i „ogólniaka“ uczęszcza najmniejszy procent młodych: ta grupa na ogół nie narzeka na zbytek wolnego czasu. Są tacy, którzy przerwali naukę w którejś tam klasie szkoły średniej. Nie są bynajmniej wyjątkami.

Co ta młodzież robi? Nawet jeżeli pracuje — co robi po pracy?

Odpowiedź wyliczająca zaobserwowane czynności „znudzonych“, nie zadowala. Więc najpierw — czym się tu można „rozerwać“, jakie instytucje zapewniają minimum potrzeb duchowych?

Kino. Dwa filmy w tygodniu. Repertuar słaby. Estetycznie urządzona kawiarnia „Maleńka“ jest zbyt ciasna, przez co staje się ekskluzywna. Telewizję ogląda się prywatnie. Teatry zaglądają rzadko, spośród nich tylko Teatr Ziemi Łódzkiej ma coś do pokazania. Zespoły rozrywkowe wolą chałturzyć, to jest efektywniejsze finansowo. Co jeszcze? Dwie restauracje, latem bar PSS nad rzeką. I to już prawie wszystko.

* * *

Pozostał klub młodzieżowy. O tym trzeba oddzielnie, jako że to główna obecnie przystań znudzonych.

Popularny „Meksyk“ (nazwa ta przylgnęła do świetlicy przy ul. Letniej w okresie szczególnego marazmu kulturalnego wśród młodzieży kolumieńskiej) nazywa się obecnie Świetlicą Osiedlową. Fakt, że budynek został — mimo wszystkich zastojów — własnością młodzieży, jest zasługą działaczy Ludowego Klubu Sportowego „Pogoń“, którym przewodzi czynny dotąd sportowiec i organizator Zbigniew Brzeszczyński. Niejednokrotnie próbowano odebrać świetlicę młodym. Nikomu jakoś nie przychodziło do głowy, aby obskurną tancbudę zamienić w świetlicę dla znudzonych. Sportowcy wymalowali salę i zorganizowali w niej zajęcia typowo sportowe. Na inne czekano inicjatywy młodych. Kiedy kilku zapaleńców wychodziło z taką inicjatywą, nikt się tym nie interesował. Władze były głuche, społeczeństwo patrzyło nieufnie. Tak było z estradką satyryczną, którą sportowcy stworzyli bodaj w 1955 roku, tak również załatwiono się z teatrzykiem współczesnej poezji i piosenki w ostatnich dwóch latach. W obu wypadkach wystawiono programy, na których widz nie tyle mógł się zabawić, ile zastanowić nad zjawiskami, obok których przechodził obojętnie. Teatrzyk współczesnej poezji „Grabia 59“ organizował wieczory literackie, dawał krótkie audycje w radiowęźle, brał udział w konkursie recytatorskim, zajmując w powiecie dwa nagrodzone miejsca, młodzi dyskutowali, czytali, uczyli się podstawowych form kultury społecznej. I teatrzyk skończył się. Zbyt trudno jest w małym miasteczku działać w pojedynkę, czy w kilku zaledwie. Moralne choćby poparcie władz stwarza realne szanse rozwoju młodym, nie okrzepłym zespołom. Tego poparcia nie było.

I nagle „Meksyk“ ożył. Nagle? Sądzę, że zatriumfowała zdrowa myśl, wyrażona lapidarnie w pewnej rozmowie z przedstawicielem miejscowych władz. „Samą pałką nie wychowa się młodzieży“. Chuligańskie wyskoki są w większości udziałem młodych, którzy nie stracili jeszcze zadatków na normalnych obywateli. Trzeba tylko odbierać młodym okazję do

## PRZED WYBORAMI DO RAD NARODOWYCH

rozróbek. Zastąpić nudę działaniem.

Do takich wniosków doszli ludzie, którzy długo zbywali młodzież z jej inspiracjami — tłumacząc, że są ważniejsze sprawy.

I oto w świetlicy osiedlowej, gdzie dotąd można było pograć jedynie w ping-ponga, czasem potańczyć — zaczął się ruch. Na zebraniu, na którym miejscowe władze oraz przedstawiciele Wydziału Kultury PRN w Łasku i Komitetu Powiatowego ZMS zajęły się serdecznie i uważniej potrzebami młodzieży — „znudzeni“ byli najliczniej reprezentowani. W prawdzie nie zdjęli jeszcze znudzonej maski, ale zastanawiali się głośno, jakie jest wyjście z impasu. Projektów nie brakło, tylko czy dadzą radę je zrealizować? Nie mają przecież doświadczenia. Postanowili przypomnieć sobie o zapaleńcach. Tych, którzy odeszli na krótko, i tych co się załamali. Wrócili. Wierzą, że na stałe.

* * *

Nim wybrano zarząd świetlicy, do pracy przystąpiło kilka sekcji. Grafik zajęć mówi, że codziennie w godzinach 17—22 znudzeni odkrywają nowe dla nich możliwości. Uczą się poznawać siebie. Na rezultaty patrzą ze zdziwieniem: więc tacy jesteśmy?

Ćwiczą kulturyści. Powyciągali z domowych zakamarków sprzęt: sztangę, ciężarki. Klub sportowy umożliwił korzystanie z dresów i trampek. Pytałem organizatora sekcji Andrzeja Korosteńskiego, czy ma jakiś „kurs“ ze sobą. Uśmiechnął się: — Kurs? Własne chęci i podręcznik kulturystyki.

Tadek Wasilewski ćwiczył kiedyś podnoszenie ciężarów w Łodzi. Instruują się wzajemnie. Ćwiczą i stwierdzają: teraz widać, jak nam zastarzały kości. Dość już młodych staruszków.

Brydż zrobił karierę chyba dzięki klubom. W świetlicy osiedlowej gra się w brydża codziennie. Czasem trzeba mieć swoje karty — w klubie są tylko dwa komplety. Ale sekcja gier świetlicowych powiększy się niedługo o szachistów i... czytelników . sy, na razie młodzieżowej i magazynów. Niektórzy już teraz szukają „Nowej Kultury“, „Odgłosów“, „Współczesności“. Przebierając się po treningu kulturyści dyskutowali ostro o wydarzeniach w Kongo. Sądzę, że nie ma potrzeby się dziwić. Maski znudzonych stają się powoli rekwizytami na karnawałowe wieczorki. Maskami dla masek — nie dla wyrażenia sztucznej postawy.

Zespół muzyczny o egzotycznej nazwie „Mexicana“ narzeka na brak instrumentów. Przede wszystkim — na brak „uczciwego akordeonu“. Pożyczana M u z a zachmurza roześmianą zawsze twarz Romka Kardzisa, popularnego w powiecie piosenkarza. Tylko Dzidka Syrewicza „uszczęśliwiono“ perkusją, zakupioną przez ZMS. Pozostała trójka gra na własnych instrumentach. Młodych nóg nie brakuje do tańca. Co ciekawe: nikt nie zakłóc. spokoju.

Sekcja artystyczna rozpoczęła pracę od przystąpienia do konkursu recytatorskiego. Reż. Henczowa, która przyjechała na instruktaż, była mile zdziwiona zainteresowaniem i możliwościami głosowymi recytatorów. Po konkursie zespół chce wystawić krótki program tematycznie wypływający z życia Kolumny, potraktowany trochę lirycznie, trochę w formie szopki.

Zarząd klubu narzeka, że brak w tej pracy dziewcząt. Przychodzą tylko na potańcówki. Nie zdradzają chęci do pracy nad ożywieniem klubu. Do konkursu recytatorskiego zgłosiła się tylko jedna, pozostali recytatorzy reprezentują płeć brzydką. „Cóż, czasy się zmieniają, propaguje się hasła typu L u d w i k u, do r o n d l a, co wyzwala męską energię, ale sankcjonuje błogą bezczynność niewiast“ — powiedział mi żartobliwie kierownik klubu, jeden z fanatycznych niemal zapaleńców tej pracy — Ryszard Karolczak.

* * *

Trzech przedstawicieli młodzieży kolumieńskiej kandyduje do Osiedlowej Rady Narodowej w zbliżających się wyborach. „Znudzeni“ wiedzą o tym i... mają nadzieję. Na co?

— Ogólnie na to, że trzech przyszłych radnych nie pozwoli zapomnieć radzie o naszych sprawach.

— Że w związku z tym nie będzie wypadku niewykorzystania pieniędzy na cele młodzieżowo-kulturalne. Bo w roku ubiegłym straciliśmy w ten sposób 10 tys. złotych.

— Że w świetlicy będzie przyjemniej. Telewizor, rozrywki, p czytać można... I potańczyć...

— Ja myślę, że same rozrywki nie wystarczą. Chętnie podyskutowałbym o czymś. Albo — żeby jakąś wystawę zrobić.

— Kurs motorowy by się przydał.

— Projektów wam nie brak — wtrącam znów — czego jednak chcecie konkretnie od przyszłej rady i waszych w niej przedstawicieli?

— Chcemy coś robić. Nie nudzić się. Sądzimy, że nowa rada powinna więcej myśleć o młodzieży. Nasi kandydaci nie mogą „spać“ na sesjach rady, a nas muszą informować stale — co z naszych spraw zostało załatwione. Po to wysunęliśmy ich kandydatury.

Rozmawiałem z trójką kandydatów. Są przejęci zaufaniem jakim ich obdarzono. W Kolumnie jest wiele do zrobienia. Ryszard Karolczak mówi o niewykorzystaniu osiedla jako miejscowości wczasowej. Ktoś powinien zająć się budową i eksploatacją domków campingowych w okresie letnim. Ktoś powinien pomyśleć o stworzeniu ośrodka kajakarskiego na stawie za torem. Ktoś mógłby się zająć oczyszczeniem atmosfery panującej w letnim barze PSS. Przecież tam co tydzień sporo pijanych korzysta z niekrytego parkietu, a wokół siatkowego ogrodzenia pełno dzieciarni. I wreszcie — co bezpośrednio interesuje młodzież z klubu — bardziej na serio trzeba pomyśleć o rozwoju tej placówki. To jest jedyna realna w tej chwili szansa wychowawczego oddziaływania na dorastającą młodzież środowiska.

Włodek Kowalczyk jest sekretarzem grupy terenowej ZMS. — Jak widzę się w roli radnego? Tak samo jak obecnie. To znaczy: chcę uaktywnić ZMS-owców, aby w świetlicy osiedlowej stanowili najczynniejszy zespół. Zajmę się szczególnie imprezami typu wychowawczo-kształceniowego jak odczyty, spotkania literackie, dyskusje, koncerty, czytanie prasy. Jednocześnie stawiam mocno na działalność sekcji artystycznej, to może stać się magnesem dla tych, co się jeszcze nudzą. Zresztą — sam recytuję wiersze, gram w zespole muzycznym... To

znaczy: w radzie — sprawy kultury, sprawy młodych będą przedmiotem moich wysiłków.

— Rozpoczynamy w tym roku budowę stadionu — mówi kandydat LKS „Pogoń“ — Wincenty Eljasik. Sądzę, że chłopaki pomogą własnoręcznie przy budowie obiektu. Wciągnąć młodych do roboty społecznej, to niezły środek wychowawczy. W pracach rady zależeć mi będzie głównie na przyciągnięciu młodzieży do świetlicy. Po co ma się wałęsać.

Tu władze nie mogą się wahać z pomocą. I materialną — w miarę budżetowych możliwości, i propagandowo-moralną. Trzeba np. wykorzystać miejscowy radiowęzeł. Estetycznie urządzić wnętrze świetlicy, postarać się o sprzęt dla istniejących sekcji. Świetlica osiedlowa musi zdobyć dobrą opinię. O to przede wszystkim będę się starał.

* * *

Obecny stosunek miejscowych władz do klubu pozwala przypuszczać, że jeszcze jeden pozytywny wysiłek nie wyparuje z wonią sosen uroczej Kolumny. Personalnie najbardziej interesują się „Meksykiem“, sekretarz Osiedlowej Rady Narodowej — Henryk Felcenloben oraz komendant miejscowego posterunku MO — Leonard Kotwiński. Zapewniali mnie, że w przyszłej radzie zrobią wszystko, aby młodym pomóc. Częściowo tego dokonano. Władze liczą jednak na pomoc młodzieży w realizacji niełatwych zadań rady. Znudzeni — i nie tylko oni — muszą o tym pamiętać. Korzyść chyba obopólna.

Materialne poparcie wyraziło się w przyznaniu klubowi 20 tys. złotych, co pozwoli odnowić salę, zakupić telewizor i załatać inne, drobniejsze „dziury“. W najbliższej perspektywie jest uaktywnienie sekcji fotograficznej, która otrzymała sprzęt z Wydziału Kultury PRN. Możliwości działania są na pewno większe, ale zarząd klubu jest powściągliwy w planach. Kto się spa zy na gorącym planowaniu, dmucha na zimną rzeczywistość. A ta nigdy nie była zbyt łaskawa dla młodych w Kolumnie.

Taka jest — z grubsza rzecz biorąc — prawda o z n u d z o n y c h wśród domków z kart — w Kolumnie, osiedlu położonym zaledwie o 25 km od wielkiej Łodzi.

# OPOWIEŚCI von Hagena (4)

# „TENOCHA Z KRAINY AZ"

Rola Azteków w dziejach Meksyku znajduje swoje odpowiedniki w historii Europy. Nawet bardzo bliskie. Ale po tym, co nawypisywał Paul Herrmann w niedawno wydanej u nas książce „Pokażcie mi testament Adama", niebezpiecznie snuć wszelkie analogie. Herrmann przytoczył dziesiątki argumentów, mających uzasadnić teorię o przedkolumbijskich wpływach europejskich w Ameryce Środkowej. Wystarczy jednak sięgnąć do bibliografii podanej na końcu książki Herrmanna, by przekonać się, jaką fikcją jest reklamowany przez polskiego wydawcę „obszerny materiał faktyczny i dokumentarny", spożytkowany przez niemieckiego autora. Herrmann nie zna podstawowych już dziś prawd o przeszłości Meksyku, a najaktualniejszym dlań źródłem jest książka „Cortez i Montezuma" pióra angielskiego pisarza Maurice Collis'a, powstała w oparciu o informacje uzyskane pośrednio od kilku uczonych — meksykanistów. Analogie, które bardzo często zresztą pomagają naukowcom w budowaniu hipotez, Herrmannowi posłużyły do skonstruowania wątpliwej wartości chwytów, obliczonych na podekscytowanie publiczności... i to tej „białej" publiczności, w której umacniać należy przekonanie o historycznej misji „cywilizacji" rasy nordycznej.

Nie ulega bowiem wątpliwości, że przeszłość Azteków nie ma nic wspólnego z Europą. Jeśli odegrali oni na terenie Meksyku rolę zbliżoną nieco do roli Rzymian na kontynencie europejskim, to z tego nic jeszcze nie wynika. Po prostu historia ludzkości dysponuje dosyć ograniczonym zasobem schematów, wedle których rozwija się bieg wydarzeń, i wobec tego — sytuacje powtarzają się...

## DATA Z CUDZEGO KALENDARZA

W jakimś stopniu byli rzeczywiście Rzymianami Meksyku. Posiadali tę samą łatwość przyswajania sobie cudzych legend, kultury, bogów. Na arenie dziejów zjawili się najpóźniej, przejmując od poprzedników co tylko się dało, począwszy od ziemi, a skończywszy na kalendarzu.

A propos kalendarza: według własnych zapisów ideograficznych przybyli Aztekowie do doliny Anahuać w roku 1168. Spośród innych plemion, zamieszkujących dolinę, nikt nie zanotował pojawienia się nowych mieszkańców, chociaż dolina była dosyć gęsto zaludniona; nie należy się jednak dziwić temu — dla plemion meksykańskich „historią" były ich własne sprawy, nikt się nie interesował losami sąsiadów. Stąd i szczep Tenocha, niezbyt wielki, liczący może tysiąc, a najwyżej pięć tysięcy ludzi, nikogo swym przybyciem nie zaszokował. No a data? Dr George Vaillant, jeden z największych meksykanistów XX wieku, przypuszcza, że rok 1168 oznacza jedynie moment, gdy Aztekowie nauczyli się operować tysiącletnim kalendarzem tolteckim, czyli, że — po prostu — jest to pierwsza data, jaką potrafili sami zanotować...

## HUNOWIE Z KRAINY AZ

Skąd przybyli? Nazwa Azteków, jaką ochrzczono plemię Tenocha, jest bardzo niepewnego pochodzenia. Mówili o sobie, że pochodzą z Az. „Az — tlan", czyli kraina Az, to jakaś ziemia bajeczna; Hiszpanie przekręcili „Aztlan" na „Aztek". Pewne jest, że nigdy przed okresem kortezowego podboju Tenochowie nie mianowali się Aztekami, ani też nikt ich tak w Meksyku nie nazywał. Nie wyciągajmy jednak pochopnych wniosków — Az-tlan to nie Atlantyda. Tenochowie mówili językiem nahuatl, który zresztą nie jest ich tworem czy wyłączną własnością; nie mogą się nawet pochwalić doprowadzeniem go do najwyższego stadium rozwoju; grubo wcześniej uczynili to Toltekowie. Tenochowie jedynie rozszerzyli zasięg starej mowy — dzięki swym podbojom i penetracji handlowej... W ten sposób nahuatl stał się czymś w rodzaju linqua franca Meksyku i Centralnej Ameryki, podobnie jak inkaskie narzecze Keczua na terenie Peru. Kiedy zaś Hiszpanie dostosowali nahuatl do swojej ortografii, a kościół zadbał o przetłumaczenie katechizmu i przetransponowanie zwyczajów chrześcijańskich na kategorie języka nahuatl, zasięg jego wzrósł jeszcze bardziej. W rezultacie do dzisiejszego dnia tysiące ludzi używa tego języka.

A pamiętać trzeba, że na terenie Meksyku istnieje około... 700 różnych narzeczy. Nahuatl to tylko jedna z ośmiu gałęzi uto-azteckiego pnia; jeśli wspomnimy przy tym, że wykazuje on bardzo bliskie pokrewieństwo z indiańskimi dialektami szczepów Pima, Sonora czy Szoszonów, stanie się jasne, że mitycznej krainy Az szukać wypada gdzieś w Arizonie, czy Newadzie, na południowo-zachodnich terytoriach dzisiejszych Stanów Zjednoczonych. Któraś kolejna amerykańska wędrówka ludów popędziła wojowniczych Tenochów na południe; z tym, że jeśli później byli Rzymianami Meksyku, w okresie pierwszych wypraw przypominali o wiele bardziej — Hunów...

## DZIECI CUDOWNEGO KOLIBRA

Z kraju Az, jak podają stare mity azteckie, wyprawił Tenochów Cudowny Koliber, słynny bóg Huitzilopochtli, którego imienia hiszpańscy najeźdźcy nigdy nie umieli prawidłowo przetłumaczyć, nazywając go Huiob chilobos, „zaczarowanym wilkiem"... Cudowny Koliber, objawiwszy się w tajemniczej grocie, powiedział Tenochom to, co — najprawdopodobniej — chcieli usłyszeć:

— Ruszajcie w drogę, rozglądajcie się na wszystkie strony; unikajcie starć na większą skalę, posyłajcie naprzód pionierów, niech sadzą kukurydzę, a gdy nadejdzie czas plonów, ruszajcie ku nim; nie zapominajcie nigdy o mnie, Huitzilopochtli; pamiętajcie dzierżyć mnie nad sobą jak sztandar i karmić ludzkimi sercami, wyszarpanymi z piersi żywych ofiar...

I Tenochowie robili wszystko, żeby nie zawieść swojego bóstwa. A mieli bóstw bez liku: dla każdej strony świata, dla każdej uprawy i czynności, nawet dla samobójców; wielkie bóstwa i małe, domowe, na miarę rzymskich larów i penatów. Ale Huitzilopochtli był tym, który przetrwał od najdawniejszych czasów — poprzez całe dzieje Tenochów. On bowiem, Huitzilopochtli wyprowadził ich z ubogiej pustynnej północy i przywiódł do ziemi obiecanej, Meksyku. Byli jego „ludem wybranym", jego dziećmi. On zaś był słońcem, wiecznie młodym wojownikiem, staczającym wieczne boje z innymi bogami o istnienie człowieka. Wstawał każdego dnia, zbrojny w strzały słonecznych promieni; co rano zwyciężał noc, księżyc i gwiazdy. A jeśli walczył o nich Azteków, oni z kolei winni mu byli pokarm, godny jego nieustannych bojów; nie wodę czy ciasto, spożywane przez śmiertelnych, ale coś, co stanowi treść życia — krew. Tak więc po wsze czasy świętym obowiązkiem każdego Azteka stało się przeznaczać jeńców na ofiarę, wyrywać im serca i poić Huitzilopochtli krwią, nektarem bogów.

W rezultacie wojna musiała stać się dla plemienia Tenochów czymś w rodzaju moralnego nakazu. Jakże bowiem inaczej możnaby zdobywać ludzkie serca dla Cudownego Kolibra? Pokój zagrażał bezpieczeństwu: bogowie mogli zaniechać troski o lud aztecki, mogli nie chronić go więcej przed niechęcią innych bogów, co doprowadziłoby z kolei do zagłady świata... Nigdy o tym Aztekowie nie zapominali. Kiedy w 1486 roku „król" Ahuitzotl poświęcał w Tenochtitlan wielką piramidę ku czci Cudownego Kolibra, po dwuletniej wojennej kampanii w Oaxaca poprowadził na rzeź przeszło 20 tysięcy niewolników... Uszeregowani w rzędach, czekali, aż porwani zostaną na kamień ofiarny, gdzie z ich rozpostartych na wznak ciał kapłani wydrą serca i jeszcze drgające darują bogom...

*Indiańskie dziewczęta*

## W ANAHUAC

W pierwszych latach pobytu na terenie doliny Anahuac Tenochowie nie zaprzestawali wędrówek. Przyswajali sobie dorobek sąsiadów. Rozwijali się liczebnie. I wreszcie udało im się ściągnąć uwagę mieszkańców okolicy. Zupełnie jak Rzymianom Romulusa zaczęło Tenochom brakować żon. Wówczas jak ludzie Romulusa zabrali się do porywania kobiet z pobliskich szczepów... Pokrzywdzeni prędko się zreflektowali. Doszli do porozumienia i wystąpili zbrojnie przeciwko rabusiom. Część Tenochów dostała się do niewoli, część umknęła na bagniste wyspy jeziora Texcoco. Ci, którzy popadli w niewolę musieli z kolei brać udział w wojnach, prowadzonych przez ich zwycięzców; sprawiali się w nich tak walecznie, że wkrótce poczuli się w prawie prosić o wyświadczenie im specjalnej łaski — chcą dostać córkę wodza, by poprzez nią zapoczątkować nową, bardziej niż wprzódy czcigodną, linię rodu wodzowskiego... Zwycięzcy uznali, że czas wybaczyć niedawnym wrogom. Przysłano Tenochom piękne dziewczę; aliści uczniowie Cudownego Kolibra obdarli dziewczynę ze skóry i w trofeum przystroili swego naczelnego kapłana. Kiedy ojciec dziewczyny, wódz niedawnych pogromców, przybył w odświętnych szatach na uroczystość zaślubin, miast przygotowań do ceremonii weselnej zastał... to, co zastał. Ci spośród Tenochów, którzy uszli rzezi, jaką sprawili przeniewiercom wojownicy oszukanego wodza, uciekli do swych rodaków na jezioro...

W roku 1325 na mapie Meksyku pojawiło się nowe miasto, miasto-państwo, coś na kształt Wenecji, Tenochtitlan...

---

# ZABAWY PRZYJEMNE i POŻYTECZNE

## PARYŻANIE I INNI

„*Każde miasto Polski* — pisze w „Polityce" Jerzy Putrament — *ma dziś swoich entuzjastów. W Warszawie zaś są tacy, którzy wprawdzie nie entuzjazmują się Warszawą, ale za to gardzą i wyśmiewają wszystko, co Warszawą nie jest. Głupia — mówiąc ostrożnie — postawa. Głupia i błędna. Nie tylko z punktu widzenia kultury ogólnopolskiej. Uderza ona bezpośrednio w interesy samych stołecznych krytyków, recenzentów i poecików, tworzy dokoła nich atmosferę niechęci i zawiści, ułatwiają oskarżenia o klikowość (...).*

*Pora, żeby koła warszawskie zrozumiały, że poza Warszawą coś się rusza. Ze nie tylko Dejmek i Skuszanka, nie tylko oś Sopot — Zakopane zasługuje na uwagę".*

Tyle Putrament. Problem jest nie nowy, jak sądzę, niewart już chyba dyskutowania. W Warszawie zawsze byli i zawsze pewno będą krytycy i poeci — nie tylko zresztą krytycy i poeci — przekonani, że poza stolicą nic wartościowego nie może się urodzić i że tylko im przysługuje monopol na tworzenie wartości kulturalnych. Putrament ma rację, jest to postawa głupia i błędna, sądzę jednak, że nakłanianie owych krytyków i poetów do zwrócenia uwagi na prowincję byłoby raczej bezskuteczne. Warte dyskusji są natomiast wnioski, jakie wysnuwa Putrament ze stwierdzenia podziału Polski na stolicę i całą resztę, czyli prowincję.

„*Zjawisko* — pisze — *zbytniej centralizacji kulturalnej, które z niepokojem obserwujemy od 10 lat, winno być zwalczane, także dlatego, że nie wzmacnia Warszawy ale izoluje ją w obojętnym na kulturę morzu prowincji. Zamiast głupawych przechwałek i prześmiewek z tych, co zostali na tej prowincji, my, warszawiacy, powinniśmy im pomagać — choćby dobrym słowem".*

Otóż nie sądzę, aby istniało „obojętne na kulturę morze prowincji". Nie sądzę też, aby warszawiacy musieli pomagać dobrym słowem tym wszystkim, którzy musieli pozostać na prowincji lub po prostu prowincję w y b r a l i. Sądzę natomiast, że to właśnie prowincja powinna pomagać warszawiakom. Powinna? Ależ ona zawsze pomagała. I to nie tylko dobrym słowem. To właśnie na prowincji, głuchej i zabitej deskami, rodziły się i dojrzewały największe talenty polskiej sztuki. To właśnie na prowincji pojawiali się poeci i malarze, powstawały grupy artystyczne, kształtowały się nowe idee i nowe koncepcje sztuki. To, co dojrzewało w stolicy, było zazwyczaj blade i anemiczne, bo dojrzewało w atmosferze kawiarni, w atmosferze koterii i klik. Żywe ośrodki kulturalne na prowincji obywały się — i obywają — świetnie bez pomocy Warszawy. Ożywcze prądy płynęły z prowincji do stolicy, a nie odwrotnie. Tak było kiedyś, tak jest i dzisiaj. Czymże więc byłaby sztuka tego kraju, gdyby nie istniało zjawisko prowincji? Warszawiacy mogą nadal piastować złudne przeświadczenie o swojej wyjątkowości, mogą nadal być przekonani, że Warszawa jest dla mieszkańców Zielonej Góry czy Szczecina tym, czym dla nich jest Paryż. Myślę wszakże, że mieszkańcy Zielonej Góry i Szczecina nie czekają na pomoc, która ma nadejść — a najpewniej nie nadejdzie — z owego Paryża i słusznie liczą tylko na własne siły.

## PODSUMOWANIE

„*Przyboś* — pisze w „Nowej Kulturze" Antoni Słonimski, podsumowując toczoną od dłuższego czasu dyskusję o poezji — *jak wszyscy ekstremiści jest nietolerancyjny i niegrzeczny. Pozbawiony jest przy tym całkowicie poczucia humoru. Napisał nie dawno, że Chagall jest czwartorzędnym kolorystą. Mógłbym stosując jego metodę napisać, że Przyboś jest czwartorzędnym poetą. Gdybym tak napisał, popełniłbym i błąd i nietakt, gdyż Przyboś nie jest czwartorzędnym poetą, a drugorzędnym".*

Tyle Słonimski. Kilka tygodni temu, także w „Nowej Kulturze" Julian Przyboś dał do zrozumienia, że za poetę drugorzędnego należy uważać Antoniego Słonimskiego. I tak skończyła się jeszcze jedna dyskusja o poezji, ciesząca się, warto zauważyć, zastanawiającym zainteresowaniem publiczności czytającej. Nikt nikogo nie usiłował zrozumieć. Nikt nikomu nie usiłował czegokolwiek wytłumaczyć. Nikt nie próbował dyskutować istotnych problemów poezji współczesnej. Każdy starał się natomiast zaliczyć przeciwnika do poetów drugorzędnych. Publiczność czytająca może więc być zadowolona, odbyła się prezentacja gustów, wiemy już, że Słonimski uważa Przybosia za poetę drugorzędnego, i odwrotnie. Dla poezji polskiej nic z tego oczywiście nie wynika, nadal będzie ona — i ta nowoczesna i ta tradycyjna — prezentacją smutnego niezrozumienia żadnego z problemów współczesnej kultury, i nadal będzie tkwiła w zaścianku, którego znakomity opis przedstawia w ostatnim numerze „Życia Literackiego" Ryszard Przybylski.

„*Kiedyś* — kończy swój artykuł Słonimski — *pokłóciłem się z moim przyjacielem Wieniawą. Po dłuższej dyskusji powiedział mi zirytowany: „Czego odc mnie chcesz? Żebym ci przyznał rację? To znaczy, żebym zmienił poglądy, zawód, środowisko, żebym zdjął mundur generalski? Za dużo wymagasz".*

Wieniawa miał oczywiście rację, nie tak łatwo zmienia się mundur i poglądy. Wydaje mi się jednak, że od poetów można by wymagać czegoś więcej, niż w gruncie rzeczy żałośnie bezsensownego sporu na temat poezji zrozumiałej i niezrozumiałej.

**ERAZM**

# Piękne kobiety na małe ekrany!

*Z kół od czasu do czasu niezle poinformowanych dowiadujemy się, że telewizja ma zamiar splagiatować popularną akcję „Odgłosów" i wystąpić z telekonkursem pod hasłem „Piękne kobiety na małe ekrany".*

*Kandydatki do konkursu — niezależnie od wyrażonej przez nie zgody — będą mogły wysuwać kolektywy kawiarniane, filmowe zespoły twórcze i inne zbiorowiska koneserów kobiecej urody.*

*Powyżej nasza propozycja.*

# „Romans"

W ubiegły piątek ŁOT nadał widowisko w/g Turgienlewa pt. „Romans" w reżyserii i adaptacji **Jerzego Antczaka**. Antczak, specjalizujący się w przenoszeniu na mały ekran adaptacji prozy, a także pozycji literatury rosyjskiej — i tym razem dał widowisko staranne, choć niestety w rezultacie nieco nużące i raczej dalekie od swoich czołowych osiągnięć.

Mimo pomysłowego filmu trickowego, interesującej muzyki, skomponowanej przez Stanisława Gerstenkorna i nader wyrównanej obsady aktorskiej, w której na dobrą sprawę zawiódł nasze oczekiwania tylko **Jerzy Walczak**, natomiast dobrze wypadli **Janusz Kłosiński, Bogusław Sochnacki**, a szczególnie może **Barbara Rachwalska** i studentka PWSTiF **Alicja Dopadlik** — „Romans" uznać można co najwyżej za spektakl poprawny.

# Nieudana niedziela

Niedziela 19 bm. nie była — jak się wydaje — najurodzajniejszym dniem w telewizji: Niedzielna biesiada z Warszawy, Disney, króciutki ale za to niecodzienny cyrkowy program rozrywkowy z Łodzi, dziennik, film.

No, do tego tośmy się już na dobrą sprawę przyzwyczaili i nie żądamy od TV za wielu atrakcji, dwie jednak zasadnicze pretensje wypada pod adresem niedzielnego programu zgłosić.

Po pierwsze: dlaczego nie było ani jednej pozycji dla dzieci? Ostatecznie niedziela jest po troszę ich dniem i choć się człowiek czasami zżymał na przeładowanie programu niedzielnego pozycjami dla najmłodszych to jednak w duchu przyznawał realizatorom rację.

A tu nagle — nic. Nawet film z cyklu „Disneyland" nie był popularną i lubianą kreskówką, a składał się z dwóch krótkometrażówek typu podróżniczo-oświatowego; niezłych, ale nie stanowiących rozrywki w pełnym tego słowa znaczeniu.

Po drugie: wypada zgłosić pretensję w sprawie narracji filmu „Okręt, który zatonął ze wstydu". Rzecz działa się przeważnie na morzu, wśród szalejących sztormów, aktorzy z różnych przyczyn mówili szeptem, bądź też przekrzykiwali szum fal, a lektorka zdecydowała się na „interpretację", też używała szeptu, wyciszała, zlewała się z podkładem dźwiękowym i praktycznie w nim się roztapiała. Znaczna część filmu, a szczególnie jego początek, były przez to absolutnie niezrozumiałe — słyszało się bowiem co trzecie słowo komentarza.

# TELEwizja

# WYBORY W TELEWIZJI

Gdy wybory poprzednie przypadły na okres „raczkowania" telewizji i ciężar akcji propagandowej dźwigały pospolu prasa i radio — dzisiaj sytuacja wygląda już zgoła inaczej. Telewizja włączyła się aktywnie do kampanii wyborczej, realizując stary chyba jak świat głód bezpośredniego oglądania czołowych działaczy politycznych czy społecznych.

Jak słusznie jednak zauważa Edmund Osmańczyk w ostatnim „Przeglądzie Kulturalnym" nie jest to — w naszych stosunkach społecznych — rzecz łatwa; ostatecznie gonienie za tanią popularnością, reżyserowanie audycji i szminkowanie się mężów stanu występujących przed telewizyjną kamerą, nie byłoby z całą pewnością dobrze przyjęte przez społeczeństwo.

Zgoła inaczej wygląda ta cała sprawa w Stanach Zjednoczonych, choć i tam podnoszą się głosy krytyczne. I tak na przykład znany publicysta Ernest K. Lindley w artykule „60 dni paradoksu" zamieszczonego w tygodniku „Newsweek" z dnia 27 marca, pisze co następuje:



**„Partia, która robiła wiele hałasu na temat stylu „Madison Avenue"** (Madison Avenue — ulica, przy której znajdują się największe agencje reklamowe w Nowym Yorku — przyp. nasz) **wydała rząd, któ-**

**ry znacznie przewyższa Madison Avenue w umiejętności wykorzystania każdej okazji w celu zdobycia pozytywnej reklamy. Telewizyjne szminkowanie się, reżyserowanie audycji i inne pomoce oraz środki, za które dawny rząd był tak krytykowany, są drobiazgami w porównaniu z tym, co Pierre Salinger wyczynia z Karoliną i Bobby'm (żoną i synem Kennedy'ego — przyp. nasz).**

**Zrozumiałe tedy, że gdy nawet w USA dżentelmeńskie reklamowanie się w czasie kampanii wyborczej, a i po jej zakończeniu także, spotyka się z zastrzeżeniami — u nas nie jest ono w ogóle do pomyślenia. Czy jednak znaczy to, że telewizja nasza nie powinna wypracować własnego stylu podawania wystąpień przedstawicieli partii i rządu?... I czy taki styl już znalazła, bądź znajdzie w toku kampanii wyborczej?...**

**O tym pomówimy chyba po jej zakończeniu.**

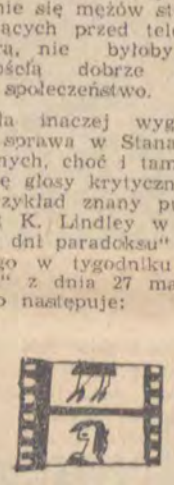

# PROGRAM na najbliższe dni

**30. III. 61 — CZWARTEK**

16.55 Program dnia (Ł) lok.
17.00 „Miś z okienka" program dla dzieci (W)
17.15 Reportaż dla dzieci starszych „Wizyta w studio miniatur filmowych" (W)
18.00 Program publicystyczny. (Ł) lok. „Kluby, kawiarnie i łaźnie"
18.15 Beethoven — sonata (W)
18.45 Polska Kronika Filmowa (Warszawa)
19.00 Młodzieżowy program publicystyczny (Ł) ogólnopol.
19.30 Dziennik telewizyjny (W)
20.00 „Nie tylko dla pań" (W)
20.30 „Człowiek w nieprzemakalnym płaszczu" film fab. produkcji francuskiej (W) od 18 lat.

**31. III. 61 — PIĄTEK**

17.30 Wszechnica TV z cyklu „Wszechświat w którym żyjemy" program pt. „Biologia molekularna" (K)
18.20 „Przypominamy" program filmowy (Ł) lok.
18.45 Koncert muzyki dawnej (Warszawa)
19.30 Dziennik telewizyjny (W)
20.00 Program PI (Ł) ogólnopol. „Z kodeksem w ręku" (W)
20.35 „Szczęśliwy żebrak" inscenizacja własna Wł. Smólskiego. (Ł)
21.15 „Do rodziców i wychowawców" (W)

**1. IV. 61 — SOBOTA**

16.55 Program dnia (Ł) lok.
17.50 „Nicolas Nickleby" film fab. prod. angielskiej dla dzieci (W)
18.45 Program tygodnia (W)
19.05 Program tygodnia (Ł) lok.
19.10 „Paragraf i fajka" (W)
19.30 Dziennik telewizyjny (W)
20.05 Pegaz — magazyn kulturalny (W)
20.35 Łódzka Kronika Filmowa (Ł) lok.
20.50 Teatr „Kobra" pt. „Portret" widowisko sensacyjne Jana Kosa (W)
21.50 „Pieniądz to nie wszystko" film fab. prod. USA (W)

**2.IV. 61 — NIEDZIELA**

10.50 „Pies przy klawiaturze" film fab. prod. węgierskiej dla dzieci (W)
12.10 Popularny koncert symfoniczny (K)
13.10 „Trzecia licealna" film fabularny prod. włoskiej (Ł) lok. od lat 16
15.05 „Świąteczna biesiada" (P)
16.15 „Nagroda kaczora Donalda" film z serii Disneyland (Warszawa)
17.05 Teatrzyk dla przedszkolaków „Piosenki dla Tomka" (Warszawa)
17.35 Polska Kronika Filmowa (Warszawa)
17.45 Estrada literacka „Świeczka zgasła" (W) Al. Fredry.
18.25 „Parada kłamców" telefilm (W)
19.30 Dziennik telewizyjny (W)
20.15 „Gra przeciw śmierci" film fab. prod. franc. (W)
21.55 Film krótkometrażowy (W)
22.15 Program rozrywkowy „Co kto lubi" (W)

# Perspektywy

Wiemy już, że w Japonii, która będzie organizatorem najbliższej olimpiady, dyskutuje się nad projektami takiego systemu telewizyjnych połączeń, który by umożliwił oglądanie największej sportowej imprezy świata mieszkańcom pięciu kontynentów. O ile wiemy w rachubę wchodzi ułożenie kabla podmorskiego, ustawienie całego systemu balonów na uwięzi, które spełniałyby rolę stacji przekaźnikowych, wreszcie — idea najśmielej wybiegająca w przyszłość — wykorzystanie kilku, bądź kilkunastu nawet sputników, przekazujących sygnały telewizyjne do dowolnego punktu globu.

Który projekt zostanie w rezultacie zatwierdzony i czy będzie w pełni i z powodzeniem zrealizowany — trudno oczywiście w tej chwili przesądzać; w każdym razie dzień włączenia się całej ziemi w jednolity system telewizyjny nie jest wcale odległy i odsunąć go mogą raczej ewentualne nawroty zimnowojennych nastrojów, aniżeli niedostatki współczesnej techniki.

W każdym bądź razie — jak już pisaliśmy — do Interwizji włącza się w najbliższym czasie Związek Radziecki i należy przypuszczać, że na ekranach naszych telewizorów będziemy już mogli oglądać moskiewską defiladę pierwszomajową.

Będziemy ją oglądali na ekranach pięciuset tysięcy zarejestrowanych w Polsce telewizorów — natomiast w końcu pięciolatki, według danych szacunkowych — liczba ta wzrośnie do miliona siedmiuset tysięcy, a obszar kraju objęty siecią telewizyjną przekroczy 90% całej powierzchni Polski.

Innymi słowy popularna i dziś telewizja, stanie się za kilka lat dosłownie chlebem powszednim — te jednak imponujące perspektywy już dzisiaj zmuszają nas do zastanowienia.

Trudno bowiem zaprzeczyć, że w telewizji po dziś dzień dużo jest partyzantki — często bardzo ambitnej artystycznie — a mało wysoko kwalifikowanych fachowców, jakiejś technicznej sprawności, która powinna być czymś najbardziej oczywistym.

Kiedy play-back nie zawodzi, tele-kino włącza się we właściwym momencie, mikrofony są dobrze rozmieszczone a ich cień nie

rysuje się na twarzy aktora, kiedy nie skrzypią drzwi otworzone poza „planem akustycznym" akcji, solidnie utwierdzone dekoracje nie chybocą się niby na wietrze, kiedy tajemniczy ktoś nie gaworzy sobie szeptem na własny rachunek, kamerzyści dokładnie wiedzą, co mają robić, a aktorzy — o dziwo! — umieją prawie cały tekst na pamięć — mówimy i piszemy nawet z dumą: to była dobra, czysto zrobiona audycja!

Czy nie przesada w tym czasem? Czy nie mamy prawa spodziewać się, a nawet żądać, aby absolutnie każda audycja była już dzisiaj „czysto" przygotowana i sprawnie przeprowadzona technicznie. Podkreślam — czysto i sprawnie, nie można przecież domagać się od telewizji samych rewelacji artystycznych, tego jednak — jak sądzę — tak.

Doprawdy, byłaby to mocno niezręczna sytuacja, gdyby sputniki przekazywały nam obraz z Japonii, a rodzimy komentator jąkał się i zacinał, łącza w Pcimiu psuły co trzeci dzień, zaś audycje lokalne szły przy akompaniamencie skrzypiącego żurawia...

J. P.

# Wielki centralny ośrodek radia i telewizji powstaje w Warszawie

Już w roku bieżącym rozpocznie się w Warszawie budowa centralnej rozgłośni telewizyjno-radiowej. Olbrzymi ten obiekt podzielony będzie na 14 oddzielnych bloków. Blok studiów radiowych zawiera ogółem 17 studiów, w tym wielkie studio muzyczne o kubaturze 8 tys. m sześciennych. Będzie ono wyposażone w aparaturę telewizyjną umożliwiającą transmisje koncertów i innych programów z udziałem publiczności.

W bloku studiów telewizyjnych znajdzie się 5 pomieszczeń studialnych o różnej powierzchni, a pod nimi zlokalizowano sale prób, pracownie krawieckie, magazyny kostiumów. Na zapleczu znajdą się ponadto zespoły aparatury telekinowej oraz rejestracji filmowej i magnetycznej, nadawanych bądź realizowanych „na później" programów.

W związku z tym, że teatr telewizji ma dawać w przyszłości dwa lub trzy wielkie widowiska teatralne w ciągu tygodnia, nowy obiekt posiadać będzie oddzielne bloki warsztatów, magazynów dekoracji o ogólnej kubaturze 34 tys. m sześciennych.

Frontową część zespołu bloków centralnej rozgłośni radiowo-telewizyjnej, które staną w Warszawie przy ul. Woronicza, stanowić będą pomieszczenia redakcji radia i telewizji. Pośrodku nich wznosić się będzie 16-piętrowy wysokościowiec kierownictwa ośrodka. Na ostatniej kondygnacji umieszczone zostaną anteny UKF dla łączności z wozami transmisyjnymi i nadajnikiem, który przeniesiony zostanie za miasto.

Projekt koncepcyjny ośrodka opracowany został w roku ubiegłym. Pierwsze studia radiowe i telewizyjne uruchamiane będą kolejno na przełomie lat 1963—64, a ukończenie pierwszego etapu budowy przewidziano na rok 1970.

# TECHNIKA pomaga twórcom

*Powiązanie kabaretu, telewizji, filmu a dalej tańca, muzyki i tricków technicznych, „Laterna Magica", zachwyciło publiczność na wystawie w Brukseli. Pomysł magicznej latarni powstał dawno, a jego autorem był żyjący w wieku XVII A. Kirchhner. Dziś przy technice jaką dysponujemy tylko pomysł pozostał bez zmian. Program „Laterny" polegający na zaskakujących odbiciach scen w zespole luster i ekranów dostarcza widzowi wiele wrażeń i emocji.*

*Niewątpliwie cały zespół środków jakimi operuje „Laterna Magica" jest w tej chwili osiągalny w telewizji środkami dużo prostszymi. A jednak telewizja stosunkowo rzadko korzysta z tricków technicznych szczególnie w audycjach publicystycznych. Szkoda, bo dzisiejsza technika dostarcza realizatorom widowisk wiele nowych możliwości. Trzeba tylko o nich wiedzieć i umiejętnie z nich korzystać.*

Redaguje Zespół ◇ Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka" ◇ Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96 Tel. 244-79 ◇ Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 1.— kwartalnie zł 12.— ◇ Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca ◇ Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz RUCH „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy" Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17 ◇ Zam. 898 III. L-4

# GŁOS ROBOTNICZY
## na niedzielę

DROBIAZGI HISTORYCZNE

### Łodzianin nieślubnym synem opata klasztoru Monte Cassino

*Grzebiąc w zmurszałych i nadszarpniętych zębem czasu księgach natknąłem się na taką oto wiadomość: „Oto opat klasztoru Monte Cassino Filip XI w czasach kiedy jeszcze nie był opatem, przebywał przez pewien czas w Łodzi jako agent handlowy znanej firmy włoskiej „Macaroni Italiana". Historycy nieraz wspominają o jego zdumiewającej łatwości nawiązywania kontaktów z wiernymi. Nic więc dziwnego, że owocem tych kontaktów... był zdrowy i drobny chłopiec — syn urodziwej mieszczki Katarzyny Łuko. Wśród wielu synów, które Katarzyna miała z przygodnie przebywającymi w Łodzi opatami ten wyróżniał się pieprzykiem... analogicznie umiejscowionym jak u opata. Całe to zdarzenie możemy traktować jako jeszcze jeden dowód sympatii wysokich czynników dla naszego Kominogrodu.*

## foto impresje

Czarna noc zalewa nas jak krew zepsuta. Uderza zegar. Jego bicie — bam-bam-bam przypomina koniec, który nadejdzie na padół. To bicie jest w czambuł. Ale my jeszcze tańczmy na płaszczyźnie z gwiazd podpartej konstrukcją krwawego potu, mgły i samoudręki. Ze zgrzytem kołujemy na wietrze. Tańczmy choć zegar bije. Takie jest prawo trwania. Ole!

PAW

## Porady wychowawcze

### Kształcimy nawyki

Cóż to jest nawyk? W popularnym ujęciu i rozumieniu pod tym nieco dziwnie brzmiącym terminem rozumiemy pewien bliżej nie określony, czasem nieraz trudny do uchwycenia przez postronnego obserwatora nie mającego dostatecznej erudycji i przygotowania do tej roli, wyrobiony sposób zachowania się lub też działania, które jak wiemy może być czynne lub bierne, zależnie od bodźców udzielanych osobnikowi przez doświadczonego pedagoga i wychowawcę, powstający w sytuacji i okolicznościach, niestety, bliżej nie znanych. Co prawda takie ujęcie zagadnienia nie jest ścisłe, gdyż zawęża ono i tak dość wąskie zagadnienie do jeszcze węższego. Nawyki zaś mają ogromny wpływ.

**JAK POWSTAJĄ NAWYKI?**

Nie wiadomo. Pewnym jest tylko, że z dwóch zasadniczych czynników: powtarzania pewnej czynności oraz życiowej potrzeby. Podobno dużą rolę odgrywa tu ramne wstawanie i systematyczne mycie zębów, ale to tylko nie sprawdzone hipotezy. Wiadomo jest, że jeden nawyk posiada potencjalna możliwość wytworzenia drugiego nawyku. Zrozumiałe jest więc, że najważniejszy jest ten pierwszy. Reszta to tylko dość smutna konieczność, w której dużą rolę odgrywa świadomość.

**Pedagog z „Głosu".**

## Kulturę dla mas

## odgłosy

MARIAN PIECHAL

SEDNO RZECZY

### Geniusz i retrospekcja

**Ktoś mógłby powiedzieć, że to sprawa b. prosta: skoro geniusz to człowiek genialny, a retrospekcja (łacińskie retrospicere) to rzut oka w przeszłość (słownik wyrazów obcych PIW 1959 r. str. 577) a zatem geniusz to ten co okiem rzuca. Czasem w przeszłość, a czasem wręcz przeciwnie. Ale problem nie jest tak prosty.**

**Czym to tłumaczyć? Tym, że jeżeli chodzi o niejasność języka to ludzie się do niej przyzwyczaili. Ale tak jednak nie jest. Każdy autor pragnie być czytany. Nawet Pascal, Stendhal, Joyce, Rilke, Proust, Bernanos, Faulkner, T. S. Eliot, Camus czy wręcz Bayron, Słowacki, Baudelaire, Whitman, Gide, Pirandello, Shaw czy ja. Tak niestety jest. Większość jednak wielkich pisarzy to wbrew mniemaniu maluczkich pisarze trudni: Ajschylos, Dante, Szekspir, Flaubert, Dostojewski, Tomasz Mann, Conrad, Borys Pasternak, Malraux. Co prawda zdarzają się nieraz, chociaż bardzo rzadko wypadki odwrotne. Ale nie mówmy o nich. Bo proszę sobie wyobrazić, że stan kultury zbiorowej w żeremiach bobrowych, w ulach pszczelich, w mrowiskach jest od tysięcy lat ten sam. Bo co to jest kultura? Jest to pojęcie bardzo trudne i zadziwiająco dynamiczne. Dlaczego tak jest? Niewiadomo.**

**A na przykład Cyprian Kamil Norwid (któremu poświęciłem sporą książkę) to twórca trudny choć nie z przekory jak młodzi poeci ale z potrzeby wewnętrznej, duchowej. On to właśnie pisał, żeby „odpowiednie dać rzeczy słowom". Ale to moi mili, nie tak łatwo. Nie łatwo.**

GENOWEFIUSZ BABRZYCK

### My sobie

*my jesteśmy zima brzęczy*
*brzęczy*
*na jarmarku epinicjon gramy*
*a my nic*
*a nam wisi to co*
*nam wisi nie wiemy*
*my jesteśmy szczuble*
*kruche*
*w interglacjałach sekund*
*a nam nic*
*nam wisi*
*wisi*
*czytelnik*
*tak!*

## ANEGDOTY Z MINSZKĄ

**KLOPOTY Z ŁUPIEŻEM**

W okresie poprzedzającym Wielką Rewolucję Francuską markiz de Voila uskarżał się najbliższemu przyjacielowi na łupież.

Łupież? — powiedział ten — znam lekarstwo. Gilotyna...

I rzeczywiście markiz de Voila był jednym z pierwszych, któremu ścięto głowę...

**ROZTARGNIENIE**

Znany chirurg wiedeński dr Plauft słynął z roztargnienia. Nie było dnia w którym nie zgubiłby jakiegoś przedmiotu. Pewnego dnia już pod wieczór pogodne jego zadowolenie zepsute zostało wrażeniem, że zgubił duży pamiątkowy zegar z wagami. Po bezskutecznych poszukiwaniach w czasie badania jednego ze świeżo zoperowanych pacjentów usłyszał w jego brzuchu melodyjne: tik-tak, tik-tak..

## KRAM z ilustracjami

*Słowa: Cezary Juszyński* *Melodia: dość popularna*

*WIĘC W MEJ...*

*Wciąż poprzez mgłę*
*Ja widzę postać twą*
*I oczy piwne te*
*Po nocach za mną mkną.*
*Ty jesteś tak daleka,*
*Twój obraz ode mnie ucieka*
*Wciąż.*

*Refren:*

*Więc w mej piosence*
*Dam wyraz dręczącej mnie męce,*
*Podniosę do góry ręce*
*By księżyc srebrny w nie wziąć.*
*Ta piosenka dopadnie cię nocą,*
*Serce twe zniszczy przemocą,*
*By z wiatru szumną pomocą*
*Twą duszę jak łachman zmiąć.*

## Mój kram-ik

### Między młotem a kowadłem

Kochani! Ziemia się kręci. Ostatecznie nie takie to ważne, można żyć sobie szczęśliwie i nie wiedzieć o losach bitwy jutlandzkiej i korsarskiej epopei krążownika „Emden", ale zapytajcie no jednego czy drugiego 20-latka (przy ograniczonym nakładzie) o jakie amfory tu chodzi i gdzie ta Kenia leży. Z pewnością, przynajmniej według mojego osobistego rozeznania — w Afryce. A tymczasem czytelnik ma pytania! Mimo to, brzmi to bardzo gorzko. Mamy pełną i realną szansę zapoznać czytelnika ze stosunkami. Może nawet mniej czytelnika, a bardziej słuchacza. Tyle o Ziemi. O kręceniu później. Na razie a propos „tyle". Mój serdeczny przyjaciel wstrząśnięty zamieszkami w Kongo miał ochotę strzelić. Któż odmawia przyjacielowi. Ustrzeliliśmy dwie setki „szlachetnej" i pytamy ile. Na to kelner z cynicznym spokojem: — „Tyla,pół dyla, pocałuj w d... motyla". Kochani! Kelnerów zlikwidować nie można, ale raz nareszcie trzeba wytępić ten idiotyczny zwyczaj używania przestarzałej i nie gramatycznej formy „tyla". Mówi się „tyle". (Patrz „słownik poprawnej polszczyzny", str. 179 — tyle, przytyle, wtyle, odtyle). Skoro już o „tyle" to przypomina się mi pewne miasto, w którym wyrabiano samowary. Szkoda, że już nie. Szkoda, że zaginął ten przemiły zwyczaj przyjmowania gości herbatą w nieograniczonej ilości. Nie bez winy jest tutaj zresztą i przedsiębiorstwo wodociągów. U mojego przyjaciela na przykład od dwóch lat nie ma wody. Jemu to nie przeszkadza — jest literatem, ale innym? Tyle na dziś.

**JERZY**

### Chwalę Fredrę

**I chwała Bogu! Ciarki mi przechodziły po grzbiecie na myśl, że teatrowi „21.05" mogła się nie udać ta premiera, bo postawiłoby mnie to, jako recenzenta, w trudnej sytuacji. Premiera jednak — trzeba to od razu powiedzieć — jest udana. Sam wybór sztuki sugerował duże ambicje. Ambicje szczęśliwie zakończone. Wygrzebano nam z zapomnienia „Zemstę" Aleksandra Fredry i pokazano.**

**Sztuka ta stoi rolami. Role zaś można dźwignąć wzwyż lub położyć na dole. Role, które stoją, oczywiście. Nie pomoże tu żadna inscenizacja reżyserska — trzeba grać. I zagrano.**

**O reżyserii Jerzego Pokrolńskiego już wspominałem. Że kulturalna. Co nie znaczy bezużyteczna. To samo scenografia Stanley'a Pietrua. A role! Janusz Pomazan i Andrzej Nieborak koncertująco zagrali te dwie solówki. Ich postacie żyją i będą żyć. Tak samo jest z rolami kobiecymi. To prawdziwy wachlarz wysokich walorów. Może tylko Hieronim Boński zbyt odbrązowił, ale pasji trzeba przyklasnąć.**

JERZY PANASEWICZ

## PANORAMA

DODATEK NIEDZIELNY „DZIENNIKA ŁÓDZKIEGO"

### Krzyżówka z kominem

1. To co leci z komina.
2. Tytuł powieści Bolesława Prusa, w której występuje Faraon.
3. Długi centkowany, kręty instrument, na którym dął Wojski.
4. Kurzy produkt (nie mylić z jajkiem).
5. Przekleństwo na które umarł Adam Mickiewicz.
6. Napój łagodzący smutka (zrymować).
7. Stan cywilny człowieka, który się ożenił (wspak).
8. Najpiękniejsze imię w Polsce (Maciuś).
9. Rzeka albo coś w rosole (trudne ale samo wypływa z krzyżówki).
10. Diagnoza jaką postawił Czytelnikowi, który rozwiązał tę krzyżówkę dr Jabłoński (Piotrkowska 96, III p. prawa oficyna).

CZY WIECIE ŻE...

...wielbłąd ma 4127 razy więcej włosów niż wieloryb...

...popularny miesięcznik „Żyjmy dłużej" ukazywać się będzie tylko do śmierci obecnego redaktora naczelnego...

...Błaszki leżą nad Cienią...

## CUKRAJ to obyczaj

**Murzyńskie plemię Tambu zamieszkuje Afrykę. Cywilizacja tego plemienia przebiega opornie, co pozostaje w bezpośrednim związku z jego zwyczajami kulinarnymi. W tych warunkach Tambowie mogli zachować wiele uroku i świeżości prymitywnego bytowania. Dla czytelników naszych przygotowaliśmy panoramiczny przegląd zwyczajów tego groźnego i pięknego ludu. Dorosłemu członkowi plemienia za strój służą cylinder i klarnet. Kobietom muszla flaminga. Wśród dzieci do lat jedenastu nikt z obcych nie rozróżni płci — bowiem chodzą jednakowo nagie. Każdy tubylec jednak wie, że dzieciak mający ucięty język jest z całą pewnością dziewczynką, zaś posiadający język zawiązany może być tylko chłopcem. Młody Tambu dotąd nie żeni się z wybranką dopóki nie przekona się o swej płodności w tym celu wybiera kilku przyjaciół, którzy stwarzają młodej kobiecie idealną atmosferę do wykazania macierzyńskiej sprawności. Jedynym czynnikiem zakłócającym rajski żywot Tambów jest różnica zdań na temat przyrządzania ich ulubionej potrawy — pupy w sosie. Część plemienia skupiona wokół Wielkiego Szamana stosuje następującą metodę: oczyszczoną pupę wymoczyć w wodzie i osuszyć na słońcu. Następnie moczyć w krwi niewinnej i suszyć na wietrze. Z kolei moczenie w mleczku pszczelim i suszenie OGNIEM CZYSTYM. Po trzykrotnym powtórzeniu tej operacji pupę kroi się w kostkę, soli, zalewa naglą krwią i czasem spożywa. Reszta plemienia z JESZCZE WIĘKSZYM SZAMANEM na czele stosuje metodę zbliżoną do staroindyjskiej susząc NA OGNIU NAJCZYSTSZYM. Obie grupy usiłują się nawzajem przekonać, która metoda jest lepsza. Dzieje się to ze szkodą dla plemienia. Przyrost naturalny nienaturalnie maleje. Plemię Tambu ucieka krwią.**

*A oto chatka w jakiej mieszkają Tambowie.*

**Cze Mond wg Science et Novues**

**Kolumnę przygotowali: Jerzy Dębski, Włodzimierz Łuszczykiewicz, Marek Wawrzkiewicz i Jerzy Wilmański.**

ODGŁOSY tygodnia

ALL RIGHTS RESERVED
WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
COPYRIGHT BY ODGŁOSY

### POMOC DO KWADRATU

**W ubiegłym tygodniu dr T. spieszący karetką Pogotowia Ratunkowego do chorego uległ wypadkowi podczas jej zderzenia z innym samochodem. W stanie ciężkim, na noszach wrócił do macierzystego szpitala. Jest to szósty w tym roku tego rodzaju wypadek i szósty przypadek „pomocy do kwadratu". Ponieważ kierowcy z reguły nie reagują na syrenkę karetek, w związku z czym ich uprzywilejowanie na drodze wydaje się fikcją, należałoby je wysyłać w towarzystwie wozów Pogotowia MO.**

## Wampir w osiedlu akademickim

Osiedle akademickie przy ul. P. Lumumby (dawniej Bystrzycka) periodycznie bulwersuje opinię publiczną naszego miasta. Ba, całego kraju. Po legendarnych kratach, które doczekały się bogatej literatury, obiegła niedawno całą polską prasę wieść o wystawieniu na korytarz łóżka pewnej studentki, która nie chciała brać udziału w odmawianiu wraz z współlokatorkami zbiorowego paciorka na dobranoc.

Ostatnio pojawił się na terenie osiedla wampir, budząc wśród studentek zrozumiały popłoch i przerażenie. Sęk w tym, że trudno dociec jak wygląda; jedne studentki twierdzą, że jest stary i ukazuje się w baranim kożuchu, inne natomiast, że jest to człowiek bardzo młody, o wyblakłej twarzy i wodnistych oczach, zaś pani S. słuchaczce uniwersytetu, którą natarczywie zaczepiał w tramwaju przedstawił się jako rzekomy student matematyki zwany popularnie „Wawrzkiem". Należy prawdopodobnie przypuszczać, że nie jest to jeden wampir w trzech różnych postaciach, ale po prostu „brygada wampirska". Ekshibicjoniści urządzają spacery pod oknami akademiczek, siejąc wśród studentek zgorszenie.

### *POGNIEWAŁ SIĘ*

*Pan X. zamieszkały przy ul. Bohomolca 16 przeziębił grypę i obłożnie chory na obustronne zapalenie płuc wzywa lekarza rejonowego. Wchodzi lekarz i od progu zaczyna:*

*— No wie pan, musiałem się męczyć z przyjściem do pana i zabłociłem buty, gdyż droga do was jest rozkopana.*

*Na takie dictum chory X. energicznie zaprotestował, więc lekarz się bardzo na niego pogniewał i na złość wpisał mu do karty chorobowej „z powodu aroganckiego zachowania się pacjenta leków nie przepisałem" i wyszedł.*

*Owym „aroganckim pacjentem" okazał się znany wszystkim młodym parom z dobrych manier i uprzejmości kierownik Urzędu Stanu Cywilnego Łódź-Śródmieście. Nazwisko lekarza brzmi: Frankow.*

## „Hojni" milionerzy

Jak nas informuje kierownik Wojewódzkiego Oddziału Państwowego Przedsiębiorstwa „Totalizator Sportowy" w Łodzi, p. Jerzy Skotnicki, w Łodzi i województwie mieszka 50 osób, które dzięki temu przedsiębiorstwu stały się milionerami.

Prawie wszyscy w pierwszym odruchu szczęścia proponowali pracownikom przedsiębiorstwa datki w wysokości od 200 zł do 10 tysięcy zł. Regulamin pracy zabrania jednak osobom zatrudnionym w PP „Totalizator Sportowy" przyjmowania tego rodzaju datków.

O prawdziwej hojności naszych rodzimych milionerów świadczy „zawrotna" suma 20 tys. złotych wpłacona przez nich wszystkich razem na rzecz Polskiego Komitetu Olimpijskiego i Polskiego Czerwonego Krzyża.

## 13 proc. pojęcia uczciwości

**W ciągu ubiegłego roku uczciwi znalazcy odnieśli do łódzkiego biura rzeczy znalezionych kilkanaście tysięcy złotych w „żywej gotówce".**

**Poza drobniejszymi, zanotowano 39 wypadków odnie sienia kwot powyżej 50 złotych, co dało w sumie około 11.700 zł.**

**Jednak z tych 39, tylko 5 poszkodowanych wpadło na pomysł, by zajrzeć do biura i sprawdzić, czy zguby nie wpłynęły. Tym osobom zwrócono pieniądze — w sumie około 2 tysiący złotych.**

**Pozostali zapłacili mniejszy lub większy (bo aż 1.900 zł) haracz za swoją niewiarę w ludzką uczciwość.**

### PIĘKNE DZIEWCZĘTA NA ŁAMY „ODGŁOSÓW"

*„Smutek"* *Fot. Zdzisław Żochowski*

## Przykłady papa

*Niebawem ma stanąć przed sądem niejaki Marian Pokrzywa, który wykazał się godną Cynjana Wielkiego (tego od kolumny Zygmunta) pomysłowością w robieniu interesów. Pan Pokrzywa sprzedawał naiwnym chłopom działki własności państwowej, m. in. rozparcelował w ten sposób dobra majątku Chorzew. Ponadto zawierał intratne dla siebie a rujnujące kontrahentów spółki z poniektórymi obywatelami m. Łodzi. Akt oskarżenia formułuje przeciw Pokrzywie 12 zarzutów i szacuje jego oszustwa na sumę około 800 tys. zł.*

*Jak wynika z akt sprawy, utalentowany bussinesman jest równocześnie przykładnym ojcem. Jeden ze świadków podaje, jak p. Pokrzywa finansował szkolenie swojej córki w zakresie sztuki łyżwiarskiej. Sprowadzał on mianowicie do Łodzi specjalnego trenera za dzienne honorarium 500 zł, plus zwrot kosztów pokoju w Grand Hotelu.*

## Miłość bez granic

31-letni Mirosław S. jest z zawodu inżynierem elektrykiem. Jego wielką pasją są podróże. W 1958 roku wydał wszystkie swoje oszczędności na zwiedzenie krajów Wschodu. Bawił wtedy również w Japonii. W stolicy tego kraju poszedł pewnego wieczoru na występy znanej mimo młodego wieku, 21-letniej pieśniarki radia tokijskiego, Hibari Hisori. Dziewczyna spodobała mu się. Ba, zakochał się w niej bez pamięci.

Pieśniarka jednak zaraz po występach wyjechała za granicę. Mirosławowi S., niestety, nie starczyło już pieniędzy ani na dalszy pobyt w Japonii, ani na podróż śladami Japonki. Musiał wrócić do kraju. Zdołał się jedynie dowiedzieć, że jest ona panną, a matka jej prowadzi sklep z rybami.

Nie zrezygnował jednak z zamiaru bliższego poznania dziewczyny. Po przyjeździe do Polski rozszedł się ze swoją żoną i niedawno zwrócił się z prośbą o pomoc w nawiązaniu kontaktu z Japonką do Łódzkiego Biura Matrymonialnego „Swatka", które podjęło się załatwić sprawę pomyślnie...

### RACJONALIZACJA

W związku z brakiem papieru „Odgłosy tygodnia" proponują następujące usprawnienie:

Przy sporządzaniu aktu urodzenia dziecka składa się skrócony odpis aktu zawarcia małżeństwa. Następnie urzędnik spisuje odpowiednie dane i akt wędruje do archiwum. A gdyby ów akt zamiast „składać" tylko „przedkładano" otrzymalibyśmy horrendalne korzyści. Ponieważ rocznie rodzi się w Polsce 720 tys. dzieci, zaoszczędzono by 720 tys. druczków, które w sumie dają kilka ton papieru. Biorąc za podstawę, że jeden pracownik w ciągu godziny wypisze cztery „akty skrócone" stanowi to 180 tys. godzin roboczych. Licząc godzinę roboczą urzędnika 6 zł otrzymamy 1.080.000 zł oszczędności. Ponadto oszczędzimy także na segregatorach oraz unikniemy kosztów produkcji owych druczków na sumę 50 tys. zł. Wymieniliśmy, rzecz jasna, tylko niektóre korzyści wynikające z proponowanego usprawnienia, pomijając milczeniem cenę zużytego atramentu i cenę zniszczenia zarękawków.

## *Zamiast kociaka nr 3*

Symptomem ostatniego i rozpoczynającego się nowego sezonu automobilowego jest moda na „Wartburgi". Świadczą o tym informacje zarówno z tzw. oficjalnych jak i nieoficjalnych źródeł. W czasie ostatnich zapisów na przydział „Wartburgów" do Wydziału Handlu wpłynęło ponad 180 podań, czyli trzykrotnie więcej aniżeli wynosi tzw. „pula" dla m. Łodzi na rok 1961.

Na czarnej giełdzie samochodowej cena „Wartburga" zarówno „Standarda" jak i „De Luxe'a" kształtuje się powyżej cen najdroższych wozów importowanych. Automobiliści zamiast hasła „Co słychać"? rzucają sobie w twarz ofertę: „Zamienię nowiutką Octavię-Super na używanego Wartburga", przy czym transakcje nie dochodzą do skutku z braku ochoty posiadaczy „Wartburgów".

Dziennikarze zbliżeni ostatnio z okazji targów krajowych do naszych kół ministerialno-handlowych przywieźli wiadomość o toczących się pertraktacjach w sprawie zwiększenia importu „Wartburgów". Osiągnięto już porozumienie co do pewnej liczby skąpionych nam dotąd „Wartburgów Coupé". Łódzki „Motozbyt" otrzymał już nawet prospekt tego znakomitego wozu. Nasze zdjęcie i opis wyciągnęliśmy z tego prospektu. Zainteresowanym radzimy trzymać rękę na pulsie.

### Wartburg Coupe

*„Wóz ten z powodu swej technicznej konstrukcji i luksusowego wyposażenia; solidnego wykończenia oraz estetycznej linii nadwozia należy do najbardziej wartościowych samochodów. Reprezentuje stylową elegancję harmonijnie połączoną ze sportowym wyglądem.*

*Oto niektóre dane techniczne: silnik trzycylindrowy, dwusuwowy o pojemności skokowej 900 cm³ i mocy 38 KM (DIN) przy 4000 obr/min; szybkość maksymalna 115 km/godz zużycie paliwa 8—9,5 l/100 km".*

## Import-eksport

**Panu Rosiakowi zamieszkałemu w Ameryce zmarła żona. Ponieważ pochodziła ona z naszego miasta p. Rosiak sprowadził zwłoki samolotem do Genewy, a stamtąd specjalnym samochodem przywiózł je do Łodzi i do chwili załatwienia formalności pogrzebowych przechowywał je na strzeżonym parkingu naprzeciw Urzędu Stanu Cywilnego Łódź-Śródmieście. Natychmiast, gdy tylko odbył się pogrzeb zmarłej, p. Rosiak udał się do powyższego urzędu i wziął ślub z następną. Ameryka, co?**